Cena pojedynczego numeru kop. 20.

26 maja / 7 czerwca 1862

# TYGODNIK ILLUSTROWANY

№ 141. *Prenumerata w Warszawie:* Rocznie rsr. 8. półrocznie rsr. 4. kwartalnie rsr. 2 miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 7 czerwca 1862 r.

*Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:* Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3. Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM V.

TREŚĆ NUMERU.

Tadeusz Dembowski (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Brama w Częstochowie (z drzeworytem). — Dawne ubiory i uzbrojenia (trzy drzeworyty) dalszy ciąg. — Zielone świątki. — Listy kobiéty. — Rzecz o książkach przeznaczonych dla ludu. — Rogalin (z drzeworytem). — Szachy. — Rebus. — Ostatni książęta mazowieccy (dokończenie). — Korrespondencya Tygodnika Illustrowanego. — Kilka piosnek Jana Czeczota.

## OD REDAKCYI.

Z dniem 1 lipca r. b., rozpoczynamy tom VI naszego pisma, które wychodzić będzie i nadal w tym samym jak dotąd zakresie i pod takiemiż warunkami.

Wkrótce rozpoczniemy druk powieści Wł. Maleszewskiego p. n. *Dziecię Żmujdzi*; po niéj w bieżącym jeszcze kwartale nastąpi opis podróży K. Łapczyńskiego p. n. *Lato pod Pieninami i w Tatrach.* Na przyszłość mamy zamówione i obiecane prace powieściowe *Kraszewskiego, T. T. Jeża* i *Zacharyasiewicza.*

Począwszy od 14 czerwca, wprowadzamy do naszego Tygodnika stałą rubrykę p. t.

## PRZEGLĄD POLITYKI ZAGRANICZNÉJ.

Przegląd ten obejmować będzie w treściwém zestawieniu ważniejsze wypadki polityczne każdego ubiegłego tygodnia, oraz sąd o nich rozumowany.

Liczne korrespondencye, z różnych stron kraju przez nas odbierane, oddawna domagały się téj reformy i tylko okoliczności dokonaniu jéj dotąd stawały na zawadzie.

Cena Tygodnika pozostaje taż sama, to jest w Warszawie:

| | | | |
|---|---|---|---|
| rocznie | rsr. | 8 | k. — |
| półrocznie | „ | 4 | „ — |
| kwartalnie | „ | 2 | „ — |
| miesięcznie | „ | — | „ 67½ |

Na prowincyi i w cesarstwie:

| | | |
|---|---|---|
| rocznie | rsr. | 12 |
| półrocznie | „ | 6 |
| kwartalnie | „ | 3 |

z nadmienieniem, że prenumeratorowie z cesarstwa, otrzymujący tylko sam Tygodnik, płacą *kopertowe od każdego* egzemplarza rsr. 2 rocznie. Jeśli Tygodnik ma być wysyłany **w kopercie innego pisma, to redakcya uprasza o wyraźne wymienienie tego pisma** przy nadsyłaniu pieniędzy.

Szanowni prenumeratorowie na prowincyi zechcą zapisywać się wcześnie na właściwych stacyach pocztowych, od tego bowiem zależéć będzie głównie regularny odbiór piérwszych numerów kwartału.

TADEUSZ DEMBOWSKI. (Rysował z fotografii Polkowski).

W razie nieregularnego odbierania numerów Tygodnika, lub otrzymywania ich w stanie uszkodzonym, porozcinane, zmięte, zbrudzone lub podpisywane atramentem, lub to wszystko nigdy z winy redakcyi pochodzić nie może, raczą szanowni prenumeratorowie odwoływać się do redakcyi lub do zarządu pocztowego w Warszawie, a zażalenia ich załatwiane będą z jaknajwiększym pośpiechem.

Komplety Tygodnika, obejmujące 11 kwartałów w pięciu tomach, mogą być nabywane w redakcyi po cenie: tom I (jako złożony z trzech kwart.) rs. 6, tomy następne po rs. 4.

## Tadeusz Dembowski.

Do rzędu mężów dobrze krajowi zasłużonych, należy Tadeusz Dembowski.

Syn Tomasza podkomorzego płockiego i Julianny Kampenhauzen(*), urodził się dnia 8 listopada 1743 r., we wsi Piastowie pod miastem Sierpcem, w dawném województwie płockiém.

Po ukończeniu szkół wszedł bezzwłocznie do kancelaryi koronnéj, pod zwierzchnictwo sławnego Andrzeja Zamojskiego kanclerza wielkiego koronnego. Pod sterem takiego męża, młody Dembowski wprawiał się do spraw publicznych, biorąc przykład z żywego wzoru poświęcenia i pracy dla dobra ojczyzny. Od r. 1780 był kilkakrotnie wybierany posłem na sejmy z województwa mazowieckiego.

W r. 1792 mianowanym został członkiem kommissyi wojskowéj obojga narodów, gdzie go ścisłe związki przyjaźni skojarzyły z Niesiołowskim wojewodą nowogrodzkim i Kaźmirzem Krasińskim obożnym wielkim koronnym.

Kiedy kommissya wojskowa zaczęła obradować, król swego ulubieńca podał do awansu w armii. Jeden z kommissarzy przyrzekł królowi że to bierze na siebie i z największą łatwością przeprowadzi. W rzeczy saméj na następnéj sessyi wniósł tę monarszą propozycyą. Kiedy się nad nią zaczęto wspólnie naradzać, piérwszy Dembowski powstał i oświadczył, że wniosku tego popierać nie może, bo wedle statutu żadna protekcya miejsca miéć nie powinna, tylko zasługa a starszeństwo. Większa część kommissarzy połączyła się ze zdaniem Dembowskiego, i wniosek upadł.

Stanisław August, dowiedziawszy się o tém, powołał Dembowskiego i rzekł:

— Już to ja wiem, że to jest łaska ja_

(*) Była to córka gen. wojsk polskich za Augusta II, z którego rozkazu napisał Kampenhauzen: Apologią kopij i pik, drukowaną w Kaliszu, w drukarni kollegium jezuickiego 1737 r.

śnie wielmożnego Tadeusza Dembowskiego, kommissarza wojskowego obojga narodów, starosty jankowskiego.

— Najjaśniejszy panie, odrzekł na to Dembowski, prawo zaprzysiężone było temu przeciwne.

— Jednakże to niepięknie, mówił król rozżalony, że to moje podanie wyście odrzucili, i w aktach zachowa się zapewne. Powiédz, co w takim razie czynić?

— Skoro wasza królewska mość cofniesz swoje żądanie, żaden ślad nie pozostanie, bo jeszcze nie jest wciągnięte do protokułu.

Stanisław August ścisnął rękę Dembowskiemu i rzekł:

— Dobrze! dziękuję ci!

Poszedł za jego radą i cofnął wniosek.

W czasie rozpoczętéj kampanii 1792 r., kiedy król ogłosił swój zamiar udania się do obozu i w tym celu zaczął tworzyć przy boku swoim radę wojenną, wezwawszy na członka jéj Dembowskiego, wyrzekł:

— Wiem żeś nie bogaty, dlatego na uekwipowanie się do obozu wyznaczam ci trzy tysiące dukatów.

— Najjaśniejszy panie, odpowiedział, ja tego przyjąć nie mogę, bo przysiągłem że żadnéj obcéj pensyi brać nie będę.

— Aleć to nie jest od nikogo obcego, tylko od własnego króla, przemówił Stanisław August z zadziwieniem i nieco obrażony.

— Najjaśniejszy panie, w przysiędze nie było o tém żadnéj wzmianki, nie mogę więc przyjąć.

Po skończonéj nieszczęśliwie kampanii, gdy nowa administracya zaczęła rządzić rzecząpospolitą, Dembowski opuścił Warszawę, osiadł na wsi i pomagał rodzicom swéj żony w gospodarstwie, resztę wolnego czasu poświęcając czytaniu dzieł treści politycznéj i wychowaniu swych dzieci.

Siła zbrojna dawała wtedy uczuć swą przewagę, pieczętując szpichlerze obywateli. Dembowski bawił w Warszawie, gdy mu żona o tych nadużyciach doniosła. Był właśnie u króla w zamku, kiedy mu list doręczono.

Ksiądz Gawroński, lektor Stanisława Augusta, widząc wielkie wzruszenie na twarzy Dembowskiego, kiedy pismo odczytywał, zapytał co jest powodem takiego zasępienia?

Dembowski oświadczył ze zgrozą o opieczętowaniu szpichlerzy obywatelskich, a drżąc z oburzenia, zawołał:

— Kiedy mnie, właściciela, nieprzyjaciel chce w domu moim ogłodzić, pojadę natychmiast do siebie i własną ręką szpichlerz podpalę. Niechaj płomienie pochłoną to, czego moje słabe siły obronić nie są w stanie.

Ksiądz Gawroński, przerażony tak smutną wiadomością, znając przytém stałość charakteru Dembowskiego, pośpieszył do Stanisława Augusta, a król wpływem swoim to nadużycie powstrzymał.

Nadszedł rok 1794. Dembowski, powołany przez Kościuszkę, zasiadł w radzie najwyższéj instancyi, a następnie mianowany był prezydującym w wydziale potrzeb wojskowych. W tym mozolnym urzędzie nie pożałował trudów i nocy nieraz bezsennych, ażeby zaopatrzyć wojsko we wszelkie potrzeby i dostarczyć mu coraz większéj ilości amunicyi. Jego staraniem z dzwonów ulano dział kilkanaście, które po nieszczęśliwéj bitwie pod Szczekocinami przesłał do obozu, do jednéj armaty oddając w zaprzęg własne konie. Siarkę i saletrę sprowadzał z zagranicy, na kule zaś karabinowe kazał zedrzéć podłogę ołowianą z zamku warszawskiego. Wysłany w tym celu ks. Cybulski, proboszcz Panny Maryi w Warszawie, zapytany został przez króla:

— Kto wam to brać kazał? boć to jest moje.

Ten odpowiedział:

— Najjaśniejszy panie, ja tylko wypełniam dany mi rozkaz, bo kul wojsku zabrakło.

Król żądał okazania pisma, a tymczasem polecił Kickiemu koniuszemu swemu, ażeby konie zamkowe ołów ten do arsenału odwiozły.

W pamiętném wzburzeniu ludu, Dembowski spokojną postawą i zimną krwią, wraz z Ignacym Potockim, zaciekłość jego potrafił na wodzy utrzymać, patrząc niezmrużoném okiem na wycelowane w piersi swoje strzelby.

W czasie oblężenia Warszawy przez Prusaków, oddał przeważne usługi Kościuszce, dostarczeniem potrzebnéj amunicyi do ręcznéj broni i artyleryi.

Po upadku sprawy całéj, Dembowski opuścił Warszawę i osiadł w Tokarach, u rodziców żony. Tu w gazetach wyczytał zapozew edyktalny, ażeby się stawił przed sądem, dla złożenia rachunków i sprawy z postępowania swego na urzędzie. Nie wahał się ani chwili, wraca do stolicy, staje przed prezesem owego sądu Pruszakiem, kasztelanem gdańskim, śmiało wnosi swą obronę, zdaje rachunki i żąda oczyszczenia z podejrzeń na niego rzuconych.

Puszczony swobodnie, przybył do zrabowanego i zniszczonego dworu. Teraz wziął się do pracy rolnéj. Dźwigał co upadło, a zarazem szlachetném przejęty uczuciem, zniósł poddaństwo w swoich dobrach, domy włościanom pobudował obszerne, z dużemi oknami i kominami murowanemi, ekonomowi zaś zakazał z batem stać nad robotnikami.

Wśród tych zajęć obywatelskich, we Włoszech zaczęły się tworzyć legiony. Ze szczupłego mienia swego udzielał chętną pomoc śpieszącym do Włoch. Taki zasiłek pomiędzy innymi otrzymał i Cypryan Godebski, który jako dowódzca pułku 8 piechoty nazajutrz po śmierci Dembowskiego poległ na polach Raszyna.

W końcu r. 1806, po bitwie pod Jeną, zmienił się stan kraju. Wchodzące wojsko pruskie zdało komendę księciu Józefowi Poniatowskiemu; utworzono radę tymczasową, w któréj zasiadł Dembowski wraz z Feliksem Łubieńskim, Potockim, Brezą, Łuszczewskim i Kochanowskim.(**)

Powstało księztwo warszawskie, a panującym został Fryderyk August król saski. Dembowski w nowym składzie rządu otrzymał urząd ministra skarbu.

Zaprawdę najmozolniejszy miał wydział w kraju zubożonym. Dzieje wewnętrzne wykażą kiedyś przeważne jego wówczas zasługi dla sprawy publicznéj, kiedy oprócz żywienia armii francuzkiéj, krajową trzeba było ubierać, zbroić i utrzymywać, zaliczać fundusze na fortece wznoszone w księztwie warszawskiém, sól zakupywać z Wieliczki i opłacać regularnie procenta od summ pruskich, konwencyą bajońską Francyi odstąpionych. Król saski, widząc nędzę kraju, zrzekł się dochodu z dóbr koronnych, sobie przeznaczonych.

Dwa lata mozolnéj pracy oddziałały szkodliwie na zdrowie Dembowskiego i wyczerpały jego siły. W chwili kiedy roku 1809 armja austryacka wkroczyła w granice księztwa warszawskiego, mąż ten zacny dogorywał na łożu śmiertelném. Zmarł d. 13 kwietnia t. r. Zwłokom jego do św. Krzyża towarzyszył szwadron ułanów pod dowództwem Lubomirskiego, który prosto z obrzędu tego, ruszył na krwawe pole bitwy pod Raszyn.

Żyjący dotąd sędziwy kasztelan Franciszek Wężyk, świadek zasług Dembowskiego, w wierszu na zgon jego oddał mu hołd zasłużony.

Odwagą cywilną zjednać sobie potrafił poszanowanie powszechne. Gdy w r. 1794 pospólstwo zbrojne domagało się otwarcia bramy w pałacu Dembowskich, gdzie wówczas stał generał Pistor (znany autor pamiętników), Dembowski stanął w oknie i oświadczył że go już niéma. Wtedy wiele zawołało głosów: „Słyszycie, kiedy Dembowski mówi, to możemy mu wierzyć. Idźmy daléj!“

W r. 1808 księztwo warszawskie zostało zarzucone fałszywym bilonem pruskim. To zniewoliło Dembowskiego, jako ministra skarbu, do ogłoszenia redukcyi takowego. Wymowne przekupki warszawskie, lubo sarkały na to rozporządzenie, mówiąc: „ten Dembowski poczciwy jak gadają człowiek, ale jednak teraz to pokpił głową,— przecież nie śmiały zadnéj mu winy zarzucać. Marszałek Davoust, który nieraz pokazywać lubił zuchwałą samowładność, w obec pułkownika Feliksa Potockiego, idąc za podszeptem plotki nikczemnéj, dał uczuć Dembowskiemu niezadowolenie swoje. Potocki szanujący wysoko cnoty Dembowskiego, nie mógł znieść niesłusznych zarzutów dumnego Davousta; pobiegł więc co żywo do ministerstwa skarbu, zabrał potrzebne księgi i papiéry, które dowodziły niesłusznego potępienia jego, i przedstawił je marszałkowi Francyi. Davoust, przekonawszy się że wprowadzono go w błąd umyślnie, zaraz odwidził sam Dembowskiego i zaprosił go do siebie na obiad do Skierniewic.

W najściślejszych stosunkach przyjaźni zostawał z obożnym Krasińskim. Ten, gdy połączenie ich rodzin nie przyszło do skutku, zapisał donacyą dóbr Żulina i Borowicy Dembowskiemu, który daru tego nie przyjął, jak nie przyjął od rodziców żony darowizny dóbr Łazisk, nie chcąc wnosić niepokoju pomiędzy rodzeństwo. Skromny w życiu i wydatkach, w Warszawie w jednym pokoiku sypiał, w drugim przyjmował odwidziny biskupów, senatorów i generałów, a trzeci, przedpokój, kończył jego mieszkanie.

Mąż wysokiéj energii w ważnych zdarzeniach, był łagodny i wyrozumiały dla drugich, nieraz znosząc sam przykrość, aby nie narazić bliźniego. Na obiedzie u obożnego Krasińskiego, kamerdyner przez pomyłkę postawił przed Dembowskim w miejsce wina burgundzkiego, butelkę octu malinowego. Dembowski nie chciał odkryć téj pomyłki Krasińskiemu, ażeby nie pozbawić łaski, a może i chleba starego sługi; gdy zaś gospodarz odprowadzał Dembowskiego do pojazdu, przestrzedz kamerdynera o pomyłce nie mógł. Nazajutrz, kiedy Dembowski przybył znowu do Krasińskiego na obiad, ten zawołał:

— Aleksander! przynieś tę butelkę wina, co ją pan Dembowski wczoraj rozpoczął.

Stanął znów na stole ocet malinowy, a nasz minister skarbu wolał wypić całą butelkę, niż narazić służącego.

Dochody ze starostwa jankowskiego odstąpił swéj matce, która je do zgonu pobierała.

Kiedy skarb księztwa warszawskiego był wyczerpany, zaczęto dla zasilenia go robić składki. Dembowski, niezamożny, chcąc dać piérwszy przykład, zaciągnął pożyczkę 5000 złp., i te złożył na potrzeby ojczyzny. Gdy umarł, pozostała wdowa z trojgiem dzieci nie miała czém zapłacić téj pożyczki; ale szlachetny wierzyciel przestał na obligu urzędowym. Małżonką Tadeusza Dembowskiego była jego synowica, Józefa Kandyda Dembowska, córka brata stryjecznego Stefana kasztelana czechowskiego, którą poślubił za dyspensą z Rzymu.

*K. Wł. W.*

(**) Muszę tu przywieść ciekawe zdarzenie o Kochanowskim, które mi opowiadał wnuk jego, znany Edward Dembowski.

Kiedy Napoleon I przybył do Warszawy, a nie zastał według życzenia swego wszystkich potrzeb dostatecznych dla armii, przywołał kilku członków rady tymczasowéj, między którymi był i Kochanowski, a rozgniewany, z uniesieniem zawołał, że jeżeli w oznaczonym dniu wszystkiego nie dostarczą, to każe ich rozstrzelać. W téj właśnie chwili, uderzywszy palcami w tabakierkę, otworzył takową. Kochanowski, który dużo zażywał, zapomniawszy gdzie jest, skoro usłyszał hasło znane tabaczarzom, śmiało się zbliża, bierze niuch tabaki z tabakierki cesarza i zażywa. Napoleon spojrzał nań bystro, a zdziwiony taką odwagą cywilną Kochanowskiego, ochłonął z gniewu i odtąd najgrzeczniéj rozmawiał z członkami rządu.

# Kronika tygodniowa.

Nie wadzi czasem zająć się gospodárstwem. Wszak na tém stoi nieraz pomyślność materyalna człowieka, narodu, społeczeństwa, a pomyślność materyalna jest ważną stroną życia, o któréj zapominać nie należy. Nie idzie jednak za tém żebyśmy tę pomyślność na piérwszém stawiali miejscu. Choć głupiec ma rumieńce i tyje, co z tego głupcowi, a tém bardziéj innym? Lecz jeżeli najrozumniejszego głowa boli, albo żołądek jego w złym stanie, to jakoś nie pomogą nic mądrości i wszelka praca oporem pójdzie: mniéj zrobi i gorzéj, niż gdyby był w dobrym stanie zdrowia. Podobno jedna z głównych przyczyn przegrania bitwy pod Połtawą, była rana którą Karol XII otrzymał był w nogę. Zaognila się ona, przyszła gorączka, i król szwedzki, tak zwykle przytomny, niepewne i krzyżujące się wydawał rozkazy wojsku. A i Pompejusz, przed przegraniem bitwy pod Farsalią, cierpiał rodzaj melancholii; jakże więc konny atak, na który zwycięzca Tygranesa tak rachował, miał się udać melancholikowi? Cezar był zdrów, zjadł dobre śniadanie, popił Falernem i dla lepszéj strawności wygrał bitwę. Nie mówię na jaką słabość chorował Marek Antoniusz, chociaż każdy zna jéj rezultat; a nawet Herakliusz, zwycięzca Persów i Bulgarów, jak zachorował na nogi, dozwolił Arabom całą Syryą zawojować.

I cóż jest zdrowiem fizycznem narodu? Jego dobrobyt materyalny.

Więc nie szukając tak daleko, przypomnijmy sobie, że wielki polityk powiedział iż losy narodów w ich kieszeni się ważą. Kto ma dużo pieniędzy, ten i swój kraj obroni, i inne zdobędzie. Może w twierdzeniu tém wiele jest przesady, ale słuszności także nie brak.

A teraz nie wiem jakie tu zrobić przejście.

Zapędziłem się w wielkie słowa i cytuję Pompejuszów i Karolów dwunastych, Herakliuszów i Kolbertów, a zgadnijcie o czém miałem wam mówić... o szparagach, ogórkach i tym podobnych ogrodowiznach.

Aż wstyd tak szumnie zacząć, a na tak małém skończyć. Ale cóż czynić, nie pogardzajmy maluczkiém, bo niéma tak drobnéj rzeczy, któraby nie zaważyła na szali ogólnéj. Więc i ogrodowizny, będące cząstką gospodarstwa krajowego, mają swoje znaczenie, a przyznać należy że ta cząstka w wielkiém jest u nas zaniedbaniu.

Nieraz zadawałem sobie pytanie, dlaczego inne narody, żyjące pod tą samą co i my strefą, wcześniéj, taniéj i lepiéj od nas opatrzone są we wszystkie produkta ogrodniczego przemysłu, że nie powiem o innych?

Dlaczego ta sama gruszka, to samo jabłko, które w Berlinie, więcéj od nas na północ położonym, niecały grosz kosztuje, w Warszawie trzeba płacić po sześć, ośm, dziesięć groszy?

Dlaczego przed tygodniem jeszcze ogórki płaciły się u nas po złotówce, kiedy w Niemczech daleko wcześniéj i taniéj można ich było dostać?

Dlaczego rok rocznie szparagi i tym podobne nowalie drożeją, kiedy uprawa ich nie wymaga przecież co rok większych nakładów?

Dlaczego sprowadzamy z wielkim kosztem owoce z Prus i Austryi, a nawet z Włoch i Francyi, kiedy przy niewielkiém stosunkowo staraniu, urodzajny grunt nasz mógłby ich wydać więcéj niż potrzebujemy? Czyliż u nas ziemia gorzéj rodzi, czyliż słońce mniéj dogrzewa?

Nie ziemi to ani słońca winą jest, ale ludzi; ogrodnictwo stoi jeszcze w kraju naszym na bardzo nizkim stopniu. Bierzmy tylko miarę z okolic naszego miasta, bo wszakże tu konsumcya największa i przemysł ten najlepiéj się opłaca. Warszawa powinna być cała opasana ogrodami; grunt sprzyja temu, nawozu nie brak, a przy umiarkowanych cenach, ogrodowizny najobficiéj dostarczane sprzedadzą się łatwo.

Są jednak chwile, w których na targu niczego dokupić się nie można. Pytamy się gospodyń naszych, czy nie znajdują się nieraz w wielkim kłopocie, nie mając z czego zrobić dobrego rosołu, z powodu braku włoszczyzny, która jedyną jest dobrą rzeczą jaką zawdzięczamy pamięci żony Zygmunta Starego.

A cóż dopiero mówić o trochę wyszukańszych płodach ziemnych.

Jedynie jagody, które nie potrzebują uprawy, rosnąc sobie samopas w lesie, pokazują się u nas w jakiéj takiéj obfitosci, a i tych nawet trudno się dokupić, z powodu wytrzebienia wszystkich prawie lasów w okolicach.

W Warszawie ogrodnicy rozumiejący swoję rzecz i umiejący dokładnie prowadzić swój przemysł, są Niemcami albo Francuzami, i ci w krótkim bardzo czasie do znacznych przychodzą majątków. Nie będziemy przytaczać przykładów: każdy o nich wié.

Potrzeba nam więc szkoły ogrodniczéj, potrzeba nam jéj koniecznie. Wychodzący z téj szkoły nie mieliby żadnego kłopotu z umieszczeniem się. Wieluż to naszych obywateli ziemskich potrzebuje zdolnych ogrodników, a nie może ich znaleźć.

Niedawno zdarzyło mi się jechać parę mil z niemieckim kolonistą. Mieszka on w kraju naszym od lat dwudziestu kilku, i jak sam przyznaje, zrobił u nas przeszło pięćdziesiąt tysięcy talarów majątku. Ale po polsku ani słowa nie umié; powiada że nie mógł się nauczyć, a mnie się zdaje że nie chciał. Żonę ma Niemkę, synów posłał do Niemiec na wychowanie. Mówił że sprzedawszy kolonią, wkrótce tam za nimi podąży, bo w Polsce niéma co robić; trzeba jechać nad Ren, gdzie przynajmniéj pieniędzy dobrze użyć można. Twierdził że u nas nudzi się straszliwie; słowem nawet dla tego kolonisty, który zaledwie czytać umié po niemiecku, jesteśmy barbarzyńcami.

Ma trochę i słuszności, bo czyliż nie przebija jakaś chińszczyzna w téj naszéj niedbałości o dobro własne, tak w wielkich, jak w małych rzeczach?

To nam przypomina, że niektórym z czytelników naszych nie podoba się iż wytykamy niekiedy ujemne strony naszego społeczeństwa.

„Chwalić i tylko chwalić obecnie należy, pisze jeden z nich, kto gani, sieje rozdwojenie. Jeżeli jednostki błądzą, mniejsza o nie. Naród jest zdrów, naród jest wielki, naród olbrzymim krokiem podąża do poprawy z zastarzałych błędów i utworzenia sobie lepszéj przyszłości. Więc pochwałami i przyklaskiem zachęcać go trzeba na téj drodze, nie odstręczać naganą i upartém wyszukiwaniem złego. A choćby było co ganić, trzeba to zataić, żeby nie dawać pochopu obcym do naśmiewania się z nas, do łatwiejszego wykrywania przed Europą naszych stron ujemnych, których i tak uparcie wyszukują.“

Pytam się teraz, odłożywszy na bok wszelką miłość własną, któréj niestety posiadamy zbyt wiele, czy naród nasz w położeniu społecznem, stopniu oświaty i pomyślnym rozwoju sił, może się równać na przykład z Anglią, o któréj teraz, przez pisma publiczne i korrespondentów, mamy jakie takie, choć niedokładne jeszcze wyobrażenie? A czyliż w gazetach angielskich, w odgłosach ztamtąd nas dochodzących, w odezwaniach się mityngowych, w mowach deputowanych angielskich, czytamy ciągłe pochwały o Anglii, czyli téż przeciwnie nie obija się o uszy nasze wytykanie wszystkich słabych stron tego tak potężnego kraju? Dokładne poznanie siebie jest właśnie dowodem siły i mądrości narodów; ciągłe i bezwarunkowe uwielbianie własnych przymiotów, jest dowodem słabości, a czasem nawet upadku. Przypatrzmy się ostatniéj wojnie w Chinach. Tam rapporta wielkorządzców i generałów ciągle opiewały o barbarzyństwie cudzoziemców, o tryumfach odniesionych nad niemi; aż wreszcie te tryumfy skończyły się zdobyciem stolicy Niebieskiego państwa i upokarzającym pokojem. Ale syn księżyca i słońca w odezwach swoich sypał ciągłe tylko pochwały, i chociaż karał, udawał że nagradza, bo wybrani przez niego dygnitarze nie mogli błądzić. I gdyby kto czytał te odezwy i rapporta, a zarazem sprawozdania angielskie, w których sprawozdawcy żalą się na złe użycie dział Armstronga, na błędy popełnione, ten mógłby sądzić że to istotnie Chińczycy odnieśli tryumfy nad Anglikami, że w Chinach panuje postęp i oświata, a w Anglii ciemnota i upadek.

Jednak każdy wié że tak nie jest. Nie bądźmyż podobni do Chińczyków, nie ukrywajmy przed sobą błędów swoich, bo się z nich nigdy nie poprawimy. Naśladujmy narody silne, narody żywotne, badając sposoby jakiemi doszły do téj żywotności, do téj siły. Zaprawdę, łatwiej i miléj jest chwalić, aniżeli ganić, ale czy sumienniéj!?....

Jeżeli się poprawiamy, jeżeli poprawiliśmy się w czémkolwiekbądź, to szliśmy tylko za wymaganiami koniecznéj potrzeby, dopełniliśmy świętego obowiązku, a za proste dopełnienie obowiązku nikt chwalonym być nie powinien: zasługiwałby owszem na bezwzględne potępienie, gdyby postępował inaczéj. Cnota tylko może i powinna być chwaloną, cnotą zaś jest czynienie więcéj aniżeli obowiązek nakazuje.

Lecz jakże trudno jest o tę cnotę!.... tém bardziéj że pomieszaliśmy znaczenie tych wyrazów, i często proste tylko spełnienie obowiązku za cnotę bierzemy. Ztąd to pochodzi to bezwzględne uwielbienie, które tu i ówdzie dla bardzo zwyczajnych czynów usłużni przyjaciele starają się publicznie wyrażać; ztąd ta drażliwość nasza na najmniejsze słowo nagany, na brak nawet pochwały, jeżeli kto nim przeciwko naszéj miłości własnéj zgrzeszy. Na téj drodze nie dojdziemy nigdy do niczego. Jak będziemy wszyscy wielcy, zatracimy miarę wielkości, i karły w oczach naszych zolbrzymieją.

Nie o pochwały nam idzie, bo naród nie jest dzieckiem, które łakociami zachęcać trzeba do nauki, a choćby chciał niém być, należy go z téj fałszywéj chęci wyleczyć.

Niech szanowny korrespondent rozważyć raczy tę odpowiedź, a jeżeli go przekona, okaże się bezinteresownym, bo my go nawet nie pochwalimy za to.

Jeden z prenumeratorów naszych z nader słuszném odzywa się zażaleniem.

„Skarżycie się panowie, mówi on, na oziębłość publiczności dla piśmiennictwa, na brak ruchu księgarskiego, na niemożność wydawania obecnie książek, z powodu bardzo maléj ilości czytających.

A czy nie możnaby części tych argumentów obrócić przeciw wam pisarzom, księgarzom, wydawcom? Czy zawsze stawialiście się na słowie? Czy nie nauczyliście publiczności nie ufać przyrzeczeniom niebardzo sumiennie spełnianym? Kto się na gorąco sparzy, ten na zimno dmucha. I dlatego pozwolisz pan, że podam ci listę przedsiębierstw literackich i artystycznych, na które nabywcy złożyli pieniądze i końca ich doczekać się nie mogą. Lista to jeszcze niekompletna, ale i tak już posłuży za dowód, że nie cała wina spada na czytających, że panowie autorzy i wydawcy powinni także uderzyć się w piersi.

1. *Opis królestwa polskiego, przez J. M. Wiślickiego.* Piérwsze trzy tomy wyszły w Warszawie w r. 1850 i 1853, a od téj daty niewiadomo co się z dalszym ciągiem stało.

2. *Historya wymowy w Polsce, przez K. Mecherzyńskiego.* Piérwsze trzy tomy wyszły w Krakowie r. 1856, 1858 i 1860, a na zapowiedziany czwarty tom czekamy.

3. *Starodawne prawa polskiego pomniki, przez Z. Helcla.* Tom piérwszy wyszedł w Warszawie w r. 1856. Tomu drugiego doczekać się nie możemy.

4. *Gawędy księdza proboszcza pod lipami, przez J. K. Gregorowicza.* Piérwsza serya wyszła w Warszawie w r. 1858. O drugiéj nie słychać.

5. *Album pomników i widoków Ukrainy, Podola i Wołynia.* Piérwszy zeszyt wyszedł w Kijowie w r. 1858. Dalszego ciągu dotychczas nie mamy.

6. *Pomniki dawnéj Małopolski, przez Aloizego Misierowicza.* Rok piérwszy wyszedł w Warszawie w r. 1857, a roku następnego jak niéma, tak niéma.

7. *Sprawa włościańska, przez Seweryna hr. Uruskiego.* Wyszły w Warszawie w r. 1858 i 1860 dwie spore części tomu piérwszego. Czekamy dalszego ciągu, może napróżno.

8. *Latopis Nestora, przekład J. Kotkowskiego.* Oddział piérwszy wyszedł w Kijowie w r. 1860. Czy doczekamy się końca?

9. *Opowiadanie o królu Janie III, przez K. Szajnochę.* Opowiadanie piérwsze wyszło w Żytomiérzu w r. 1860. Czekamy z niecierpliwością końca.

10. *Dmóchowskiego Historya Cezara Cantu skrócona.* Jeżeli dla małéj liczby prenumeratorów przestała wychodzić, to szkoda, bo dzieło użyteczne; ale w każdym razie źle że wydawca lepiéj się nie obrachował, bo dlaczegóż ci którzy zakupili początek, mają tracić na tém że ich jest niewielu? To niesprawiedliwie.

A cóż dopiéro powiedzieć o tych wydawcach, którzy ogłaszają prenumeratę koniecznie na całe dzieło i straszą że po ukończeniu wydania cena podwyższoną zostanie, a wziąwszy z góry przedpłatę, każą potém swym przedpłacicielom czekać bez końca, sami zaś zajmują się tymczasem innemi publikacyami i pomysłami. Oto niedokładne wymienienie niektórych z tych dzieł.

1. *Wizerunki Polskie, przez M. Fajansa,* wydawane w Warszawie od r. 1851, a do dziś dnia doczekać się nie możemy opłaconych ostatnich dwóch poszytów.

2. *Album kaliskie, przez E. Staweckiego.* Wyszło pięć piérwszych poszytów w Warszawie w r. 1858; ostatnich zaś pięciu niedostaje.

3. *Album lubelskie, przez Lerue.* Zeszyt piérwszy oddziału 2go wyszedł w Warszawie w r. 1860; na resztę zeszytów, do Nru 8 opłaconych, już dwa lata czekać musimy.

4. *Album szczawnickie, przez J. Szalaya.* Cztéry piérwsze zeszyty wyszły w Krakowie w r. 1858, a na dwa ostatnie, wziąwszy przedpłatę, każą czekać.

5. *Życie Stanisława Jabłonowskiego, przez pana de Jonsac, przekład z francuzkiego.* Piérwszy zeszyt wyszedł we Lwowie w r. 1857. Wzięto przedpłatę za resztę zeszytów Nr. 2, 3 i 4, a do dziś dnia nic zgoła nie otrzymujemy.

6. *Dzieje korony polskiéj i wielkiego księztwa litewskiego, przez B. Wapowskiego,* tłumaczone przez M. Malinowskiego, a wydane przez Glücksberga w Wilnie w r. 1847 i 1848. Trzy tylko wyszły tomy, a czwarty, już opłacony, wiadomo że wydany nie będzie i pieniądze za takowy zwrócone nie zostaną.

Oto są zachęty dla prenumeratorów. I czyliż dziwić się można że kupujący zrażają się taką niesłownością? Na podobnego rodzaju postępowanie niéma tłumaczenia, bo chociażby nawet brak prenumeratorów *zmusił* do zaprzestania wydawnictwa, czyli *niespełnienia danego przyrzeczenia,* to świętym jest obowiązkiem zwrócić tym przedpłacicielom, którzy uiścili całą opłatę, przynajmniéj należność za niedodane zeszyty. Już i tak ponoszą oni niemałą szkodę, posiadając dzieła niekompletne. Racz pan ogłosić te moje uwagi; może się zdadzą na co.“

Uczyniłem według żądania. Nie tłumaczę panów wydawców; powinni oni sami to uczynić, boć to ich sprawa. Dodam tylko że niesłowność jednostek szkodzi ogółowi, i dlatego strzedz się jéj należy.

Proszeni jesteśmy o zamieszczenie następującego ogłoszenia:

*Westiarnia Opatrzności,* czyli zgromadzenie osób pragnących własną pracą przyodziać uboższych braci swoich i na ten cel zbierających się jednego dnia w tygodniu na kilka godzin dla szycia i przyrządzania różnych ubiorów, odzywa się do litościwych serc rodaków, żeby ofiarą starzyzny raczyli zasilić szczupłe jéj fundusze. Wszelkie dary składane na ręce siostr miłosierdzia w domu centralnym św. Wincentego przy ulicy Aleksandryi pod Nr. 2772, będą z wdzięcznością przyjmowane, a potém przerabiane i naprawiane według możności, dla rozdania ich biédnym, nie mającym nieraz czasu na zastosowanie do swoich potrzeb podarowanych sobie starych rzeczy. Składki w gotowiźnie lub dary w płótnie, perkalu albo innych nowych towarach, również są pożądane.“

Z chęcią podajemy rękę temu użytecznemu przedsięwzięciu, którego piérwszą myśl my sami przed rokiem jeszcze rzuciliśmy w swojém piśmie, i polecamy je współczuciu czytelników. Tego rodzaju jałmużna lepiéj jest pojętą od wszelkiéj pieniężnéj pomocy. Niezawsze pieniądze rozdane ubogim wychodzą im na korzyść, potrzebują bowiem nad sobą nietylko materyalnéj, ale i moralnéj opieki. Nieraz zdarza się że pieniądze przeznaczone na jakie takie oporządzenie się, idą do szynku, a łachmany pozostają łachmanami. *Westiarnia* (czemu nie *szatnia?*) *Opatrzności,* pragnie zapobiedz temu i najskuteczniejsze w tym celu przedsięwzięła środki. Nie dla rozgłosu lub popisywania się z dobroczynnością powstał ten zakład: składające go miłosierne osoby pracą rąk własnych, własném staraniem, własnym trudem pragną zaopatrzyć najbardziéj naglące potrzeby klass uboższych. Tak Chrystus chciał, tak ewangelia święta uczy.

Widzieliśmy w jednym z kościołów tutejszych damę polską modlącą się po francuzku na książce francuzkiéj. I zadaliśmy sobie pytanie, czy nawet w niebie po polsku wysłuchanym być nie można? To byłoby smutne, bo w takim razie znaczna część modlitw naszych, w braku tłumaczów, pozostałaby bez skutku. Jeżeli dama wspomniona umié tylko myśléć po francuzku, to po co jéj siedzieć w kraju? Tu jéj większość nie zrozumié, ani ona większości.

## BRAMA W CZĘSTOCHOWIE.

Jak pośród szalonych bałwanów morskich, kiedy okrętem miota rozhukana fala, strwożona dusza wędrowca z niepojętém wzruszeniem wita zbawcze światło morskiéj latarni, która zbłąkanym bezpieczną przystań wskazuje,—a burzą skołatany pielgrzym, zaledwie bramy i łzą gorącą zimny kamień zlewa, a z wzdętéj pierśi bólem i goryczą, płyną łkaniem przerywane słowa modlitwy do świętéj Matki, pocieszycielki strapionych.

I w jednéj chwili, jakby tchnieniem Bożém rozwiane, smutek i boleść uciekają z serca człowieka, błogość napełnia duszę strapionego i pokój się rozlewa działają na duszę człowieka; to co mu się w dziecinnych latach piękném i wzniosłém wydawało, gdy wiek dojrzały uczucia wystudzi, a rozum zerwie ułudne zasłony i przedstawi rzeczywistość nagą, bladą, bez czarownych tchnień młodości, zaczyna wątpić o świecie, o ludziach, o sobie nawet. I nazbyt zajęty codziennym kłopotem, gdy wszędzie doznaje ciągłego

BRAMA KLARZTORNA NA JASNÉJ GÓRZE. (Rysował z natury Szerner).

dotknął stopą suchéj ziemi, upada na kolana i łzą wdzięczności skrapia ukochaną, dziękując za ocalenie Bogu; tak ten którego życie skołatały walki ze światem, nieszczęścia i rospacz, kiedy go po wielu latach cierpień i zawodu fale żywota zawiodą w te strony, zaledwie zbliży się do poświęconych murów jasnogórskiego klasztoru, upada na twarz pod sklepieniem po całéj istocie; już mu inaczéj wydaje się świat, i słońce świeci weseléj, i kwiaty przyjemniéj wonią, a ten co jeszcze przed niedawną chwilą z radością pożegnałby ziemię, znowu ochoty do życia nabiera. Taki to wpływ to miejsce święte na zwidzających je wywiera.

Wiek, przebieg czasu, wpływ ludzi i świata, silnie zawodu, traci powoli odwagę, traci wiarę i nadzieję, uznaje życie ciężkiém brzemieniem, którego dźwiganie staje się nieznośném, dziwi się dlaczego żyje, jeśli to życie ma być pasmem cierpień, upartą walką bez wytchnienia.

O! w takim stanie umysłu biegnij żywo do bram Jasnéj-góry, a jeśli w głębi twéj duszy kryje się je-

# DAWNE UBIORY I UZBROJENIA.

*(Dalszy ciąg).*

**(Zebrał i rysował Juliusz Kossak).**

Nr. 23.

*Wiek XIV.* Giermek i dworzanie. Rysunek wzięty z legendy o św. Jadwidze.

dno chociaż wspomnienie młodości, jedna nuta pobożnéj pieśni, pieśni do Maryi, królowéj nieba, w dziecinnych latach od matki słyszanéj,—tu znajdziesz pokrzepienie, orzeźwiający zdrój dla spalonego serca, a jedna kropla téj ożywczéj krynicy wskrzesi je z popiołów jak Łazarza i nowém natchnie życiem.

Podnieś wzrok przybity do ziemi, biédny pielgrzymie: spójrz na tę wyniosłą wieżę, co jak modlitwa sprawiedliwego strzela w błękit niebieski; spójrz na te mury, o które rozbiła się kiedyś potęga szwedzka; patrz na te ziemię krwią obrońców przesiąkłą, na tę kaplicę, która w swém łonie pielęgnuje skarb największy twéj ziemi rodzinnéj. Patrz długo... długo... długo... i oddychaj wonią ukojenia, jaka tu przepełnia powietrze.

Brama ta wiedzie do cichéj przystani, w któréj żywota skołatana nawa, po długoletnich walkach nowych nabierze sił. Tu twoi ojcowie, naddziady, praojce, wśród klęsk najstraszniejszych szukali otuchy; tu wojownicy waleczni, co kraj piersią zasłaniali i najstarsi ziemi téj włodarze, królowie polscy, błagali Maryi; tu Kazimirz Jagiellończyk, zanim Polsce swoich trzech synów w kolejną służbę ofiarował, oddał ich wprzód na Jasnéj-górze w opiekę Maryi, królowéj téj ziemi; tu waleczny Augustyn Kordecki, cichy, pokorny sługa Boży, wsparty Bożém tchnieniem ostatni zakąt rzeczypospolitéj od zuchwałego ochronił Szweda.

Wszyscy ztąd pocieszeni odchodzą. Kto szczerze westchnął, ten nie doznał zawodu. Mędrkowie świata, powiédzcie mi, jaka moc tajemnicza uwięziona jest w tych murach? dlaczego Jasna-góra jest serc magnesem? dlaczego gdy o mil kilka ujrzysz zdala tę wysoką wieżę krzyżem świecącą z poza gór i lasów, nieprzeparty pociąg jakby przemocą do jéj stóp cię popycha? Dlaczego znowu, jeżeli serce twoje choćby najmniejsza plama kala, ze wstydem spuszczasz smętne oko i wzroku nie śmiész podnieść na te mury? dlaczego w każdym najuboższym domku znajdziesz obraz Maryi o ciemnych licach, otoczony najwyższą czcią? dlaczego lica obrazu dwukrotnie szablą przecięte? dlaczego szyja przeszyta tatarską strzałą? dlaczego obraz ten od cierpiących czczony, cierpiał także i od pięciuset lat zrósł się z losami narodu? dlaczego co rok ze wszystkich stron kraju ciągną tu wiernych niezliczone chmury, a każde serce z upragnieniem oczekuje chwili zbliżenia się do bram klasztoru?

Szukaj w sercu swojém odpowiedzi... jeśli to serce jeszcze bije.

Brama klasztoru, to furta niebieska wiodąca do przybytku wiary, nadziei i miłości.

---

## ZIELONE ŚWIĄTKI.

Świéci się Warszawa. świéci się i Kraków.
*(Stary krakowiak).*

Dawnym zwyczajem w obydwu stołecznych dawnéj Polski grodach odbywa się uroczystość zielonych świątek wycieczką do Bielan. Ma Warszawa swoje Bielany, ma Kraków swoje; ale erem kamedułów warszawskich jest miniaturą krakowskiéj pustelni, i mimo pięknego wzgórka nad Wisłą, mimo romantycznego lasku, ustępuje jéj pod każdym względem.

Może niejedna z czytelniczek warszawskich posądzi mię że mówię *pro domo mea,* że przesadzam piękność krakowskich Bielan, z ujmą tutejszych. Niech jednak odbędzie przejażdżkę jednodniową do staréj Piastów stolicy, a pewny jestem że zachwycona widokiem Srébrnéj góry, przyzna mi słuszność.

O milę na zachód Krakowa, tuż ponad Wisłą, leży wysoka góra, gęstym lasem pokryta, a na jéj szczycie wśród zieleni wystrzelają dwie wieże bieluchne, panujące szerokiéj okolicy. Górę tę zowią *Srébrną,* bo Mikołaj Wolski, założyciel eremu, marszałek wielki koronny, dał za nią Sebastyanowi Lubomirskiemu, kasztelanowi wojnickiemu, ogromny serwis srébrny i z wielkim kosztem (*) wzniósł tu obszerny kościół dla pustelników reguły świętego Romualda.

Kościół z frontem z kamienia ciosowego, ozdobiony wewnątrz bogato czarnym marmurem dębnickim, otoczony jest obszernym eremem, z domkami i ogródkami kamedułów. Mur opasujący część lasu czepia się po urwiskach skał, wisi nad przepaścią i spuszcza się po stroméj spadzistości, zadziwiając wędrowca śmiałością budowy. U stóp góry Wisła roztacza swą wstęgę; naprzeciwko sterczą nagie skały opactwa tynieckiego; w dali Lanckorona i Kalwarya na sinych zasiadły górach, a daléj jeszcze majaczeją Tatry. Ku wschodowi czerwienią się dachy Krakowa wśród wieńca drzew, a na jego krańcu piętrzy się dumnie królewski zamek, otoczony szeregiem topoli. Kto raz zwidził Bielany krakowskie, ten zatrzyma do śmierci niezatarte tego widoku wrażenie.

(*) Wybudowanie kosztowało 500,000 złotych ówczesnych.

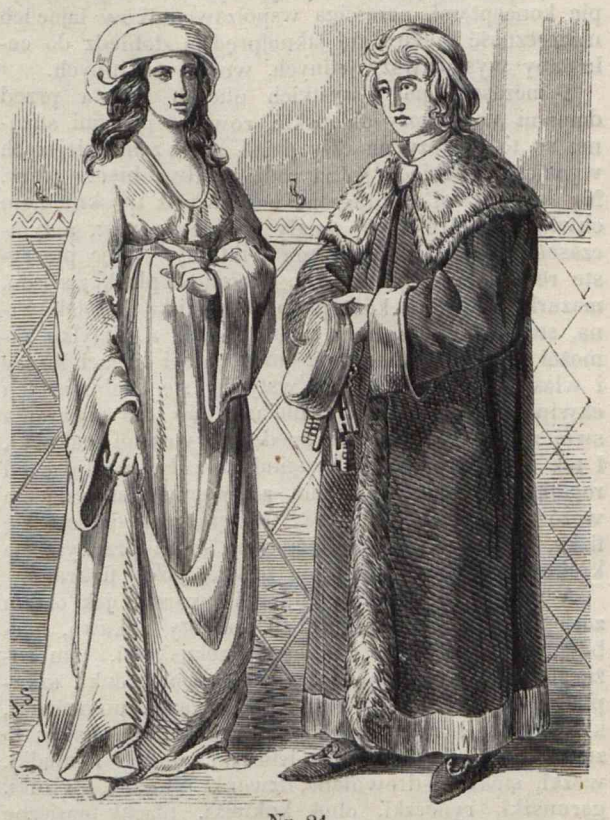

Nr. 24.

*Wiek XIV.* Klucznik i mieszczanka. Rysunek wzięty z legendy o św. Jadwidze.

Nr. 25.

*Wiek XIV.* Księżna w podróży. Giermek prowadzi konia, damy dworskie towarzyszą. (Rysunek wzięty z legendy o św. Jadwidze).

*(Dalszy ciąg nastąpi).*

A mieszkańcy Krakowa tłumnie używają téj roskoszy trzy razy na rok: na zielone świątki, w dzień świętego Gerwazego i Protazego (19 czerwca) i w dniu wniebowzięcia Matki Boskiéj (15 sierpnia). Wszelako zielone świątki najliczniéj gromadzą pod cieniem drzew góry Srébrnéj krakowskich gości.

Co kraj to obyczaj, mówi staropolskie przysłowie; więc téż wycieczka w zielone świątki na Bielany krakowskie, wielce się różni od przejażdżki warszawskiéj. W Warszawie Bielany są prawdziwém *Long-Champs* miejscowém: w wytwornych pojazdach pysznemi unoszonych cugami, pawią się szczęśliwi posiadacze mamony ziemskiéj, postrojeni w przepyszne wiosenne stroje. Prawda że nieznośna kurzawa zmienia do niepoznania barwy drogich jedwabnych tkanin, że w czasie największego natłoku, przejażdżka odbywa się processyonalnie; ależ zwyczaj tak każe, zwyczaj zapewne niedawny, datujący się od czasów Stanisławowskich, kiedy modny polor francuzki z westką i frakiem, wypędził dawny obyczaj z bielańskiego lasku. Nie braknie i spektatorów, co rozsiadłszy się na krzesłach przed improwizowaną cukiernią, przez szkła przypatrują się przeciągającéj paradzie, oceniając powozy, ubiory ich właścicieli, konie, liberye i zaprawiając te spostrzeżenia attycką solą dowcipu. W głębi tylko lasku kilka huśtawek i katarynek przypomina dawniejsze czasy. Inaczéj dzieje się w Krakowie.

Za rogatką zwierzyniecką od świtu gromadzi się mnóstwo lekkich wózków chłopskich; drabinki i chomonta przybrane w zielone gałązki i ustrojone polnemi kwiatami; hoże parobczaki, którym krew tryska z świéżych, opalonych twarzy, niecierpliwią się oczekując przybyszów. Od piątéj godziny z rana już tłumy mieszkańców miasta ciągną ku rogatkom, i wnet rozpoczyna się konkurencya między woźnicami:

—Po piętnaście groszy od osoby, woła jeden.

— Ja wezmę po dwanaście, krzyczy drugi.

— Niech panowie siadają po dziesięć, zaprasza trzeci.

Gwar, ścisk, targi, a co chwila wóz naładowany podróżnemi puszcza się gościńcem. Parobczak, stojąc na przodzie, strzela z bicza i jednym lejcem zręcznie kieruje końmi; pędzi, krzyczy, wymija, śmieje się, sypie konceptami, prześciga współzawodników łając ich niezręczność i stara się jaknajprędzéj dobiedz do celu, aby wysadziwszy jednych, wrócić po innych.

Tymczasem po wszystkich ulicach miasta przed domami stoją wozy chłopskie, również gałęźmi strojne; są to powozy na cały dzień przez zamożniejszych wynajęte. Niekiedy jedna rodzina dwa bierze wozy. Na dole dzieci poubierane oczekują z utęsknieniem chwili, w któréj będą mogły wsiąść na wóz, a tymczasem służące znoszą różne wiktuały. Więc pieczyste różnego rodzaju, sławne miejscowe placki z sérem, mazurki, baby, tu kosz piwa, tam kilka butelek wina, stosownie do stanu i zamożności; a nietylko zamożni i niezamożni rzemieślnicy, ale i bogaci kupcy i właściciele domów nie wstydzą się drabiniastych ekwipaży, boć jadą na Bielany nie dla pokazania swéj zamożności, ale dla spędzenia wesołéj majówki. I tak ruszają jedni za drugimi, a cały gościniec od rogatki do Bielan literalnie zatłoczony jest tysiącem wozów, wózków i bryczek. Gdzieniegdzie wlecze się fiakr, ale w nim najczęściéj obcy siedzi przybysz, bo krakowskie dzieci nie lubią żółwiéj jazdy fiakrami.

A w lesie bielańskim ludno i gwarno; jak okiem zasięgniesz mnóstwo osób: tu namioty z kawą, herbatą, pomarańczami, winem i przekąskami, tam różnego rodzaju towary odpustowe, więc koronki, szkaplerze, książki do nabożeństwa, obrazki, pierścionki, krzyżyki i korale szklane najrozmaitszych barw; to znów stoliki, krzesełka, kolébeczki, szafki, komódki, wózki, siekierki drewniane, dzwonki gliniane, gwizdki, garnuszki, ryneczki, obok kukiełki, placki mosiężne z Liszek, przysmak włościański. Gdzie tylko obok siebie dwa drzewa niezbyt daleko stoją, tam zaraz huśtawka; przy każdéj parobczaki, a huśtają za grosz, za dwa, za trzy, za ile kto chce.

Nieco daléj od zgiełku odpustowych kramarzy, szeroko po lesie aż po mury pustelni porozścielane są gęsto dywany. Każdy dywan, to siedziba jednéj rodziny. Wedle gustu i dogodności każdy wybiera sobie stosowne miejsce i rozkłada się taborem. Od głębi lasu, ścieżkami od skał Panieńskich i mogiły Kościuszki, ciągną lubownicy wiosennych przechadzek i śpiewu słowików. Rośnie liczba przychodniów i większa połowa ludności miejskiéj mieści się w bielańskim lesie. Bo téż miasto zupełnie osamotnione; oprócz lekarstwa w aptece, za żadne pieniądze niczego nie dostaniesz, wszystkie sklepy, cukiernie, szynki na głucho pozamykane, wszystko na Bielanach.

Wtém dzwony kościelne wzywają na nabożeństwo; ani kościół, ani dziedziniec obszerny nie mogą pomieścić przybyłych. Największa część słucha nabożeństwa pod gołém niebem, pod majowém słońcem, przy śpiewie ptasząt leśnych, a w tém gwarliwém zgromadzeniu tak urocza cisza panuje, że słychać każdy dźwięk dzwonka mszalnego i z głębi świątyni przedziera się głos kaznodziei. Wietrzyk tylko szeleści w liściach drzew, lub niesforne ptaszę krzykliwym głosem ciszę przerywa.

Po skończoném nabożeństwie wszystko wraca do lasu. Tam już skrzętni słudzy przygotowali posiłek; po drodze napotyka się znajomych, więc jedni drugich zapraszają wzajem i odbywają się improwizowane wizyty.

Swoboda, wesołość niewymuszona jest duszą téj miłéj rozrywki; z latarnią dyogenesową szukaćby przyszło przesady etykietalnéj. Tu grają starzy wspólnie z dziećmi w gry rozmaite; tam gosposia nalewa wonną kawę; owdzie zasiadło w koło grono przyjacielskie na trawniku i wiedzie gwarne rozmowy. Przychodni żebrak nie odejdzie bez posiłku; śpiewa wesoło dziatwa, bujają huśtawki, gra muzyka melodye narodowe, dzień roskosznie upływa.

Jeżeli czasem powóz pański podjedzie do połowy wzgórza, siedzący w nim wysiadają i przechadzają się pośród bielańskich gości, nie wyróżniając się od innych wytworem stroju.

Trzebaż bo i zauważyć, że Krakowianki na Bielany nie stroją się w kosztowne materye. Sukienki wełniane i perkalikowe nie zostały wyklęte przez te lube czarodziejki: wiedzą one że najpiękniejszym strojem dziewczęcia jest skromność i prostota; to téż wdzięcznie i swobodnie, jak młode sarneczki, uwijają się śród majowéj zieleni i nie gonią za wykwintnym, wyszukanym strojem, ale szukają lubéj wiosennej rozrywki z całą młodzieńczą swobodą.

Słońce schyla się ku zachodowi. Już widać dokoła ruch do powrotu: zajeżdżają wózki umajone, woźnice trzaskają z biczów, konie rżą, ludzie śmieją się, żartują, żegnają, dzieci hałasują, wrzawa wzmaga się, huśtawki szybciéj bujają, muzyka raźniéj dogrywa; wszystko czuje że blizki koniec rozrywki, ze śpieszyć się trzeba, aby wesoło użyć ostatnich chwil majówki. Nakoniec karawany wędrowne puszczają się z powrotem, zmierzch zapada i gwar się uśmierza. Kobiéty już z rodzinami opuściły urocze ustronie; młodzież tylko, stanowiąca tylne straże majówki bielańskiéj, wraca tłumnie, licznemi gromadkami, ochoczo i wesoło śpiewając zgodnemi chóry przeróżne pieśni.

W r. 1845, w towarzystwie kilku kolegów wyszedłszy z Bielan, puściliśmy się za dnia jeszcze ścieżką, grzbietem góry biegnącą wśrod skał i krzewin. Już słońce zaszło i zmrok padać zaczynał, kiedyśmy dosięgnęli mogiły Kościuszki. Wstąpiliśmy na wierzchołek, ażeby raz jeszcze rzucić okiem dokoła z tego najwyższego punktu ziemi krakowskiéj. Nagle w oddaleniu błysło światło potężne, daléj drugie, trzecie, dziesiąte, setne. Wnet cały widokrąg zagorzał tysiącem ognisk, jak nieprzejrzane obozowisko wśród nocnych cieni. Od Ojcowa do Lanckorony, od wzgórz chełmskich po za mogiłę Wandy, płoną ogniska. To starosłowiańskie Sobótki, które lud krakowski dziś pali.

Rzecz szczególna, że gdy w królestwie od wieków odbywa się obrzęd ten w wigilią świętego Jana, w Krakowskiem w dniach zielonych świątek palą Sobótki. Nasyciwszy się uroczym widokiem, gdy na pogodném majowém niebie zabłysło także tysiące gwiazd, jakoby w odpowiedzi światłom ziemskim i my z kolei założyliśmy na dwóch kamiennych ławkach na szczycie mogiły wówczas będących, po parę funtów bengalskiego ognia. Długie a wolno tlące się lonty założono i zapalono. Nim dosięgły ogni, mieliśmy dosyć czasu ubiedz kilkaset kroków do najbliższéj Sobótki opodal wzgórza płonącéj.

Tu mnóstwo włościan otaczało kręgiem palący się stos gałęzi i słomy, wciąż podsycany. W pośrodku gorzała ciemnym płomieniem beczka smolna, umyślnie na ten cel u smolarzy zakupiona.

Dokoła stosu biegali młodzi chłopcy, mając na żerdziach długich snopy zapalonéj słomy i z wesołemi okrzykami ścigając rzeźkie dziewuchy, pierzchające z wrzawą na wszystkie strony. Śmielsi przesadzali rzutnym skokiem gorejący ogień, a niektórzy śpiewali:

Oj sobótka, sobóteczka,
Pójdźże do mnie dziewuszeczka;
A czyś godna, czy niegodna,
Nie uciekajże od ognia,
Nie uciekajże od środka,
Nie spali się twoja cnotka.
Sobótka! sobóteczka! wiwat!

Przyjście nasze zmieszało na chwilę zabawę, ale to tylko na chwilę, bo lud krakowski nie kłopocze się wcale obecnością mieszczucha, a lubo grzecznie, ale zawsze traktuje go z pewném lekceważeniem. Więc wnet ochocze skoki i gonitwy rozpoczęły się nanowo z całą swobodą i wesołością; dziewczęta tylko nieco na śmiałości straciły.

Wtém na szczycie mogiły zajaśniał płomień białego ognia bengalskiego, rozpraszając na paręset sążni dokoła nocne ciemności.

— Patrzajcie no, patrzajcie ku kopcowi, zawołałem na wieśniaków, wskazując im jasność. Co to tam takiego?

— A no i cóżby było, rzeknie obok stojący parobczak. Kościusek pali téż sobótkę i kwita.

— Ale jak pięknie świéci, zawoła drugi.

— Bo téż to nie gałęzie, ani słoma, rzecze trzeci, jeno jakiś dziwny ogień.

— To pewnie panowie zaświecili coś zmyślnego, bo to nie pasterze palą, powiada inny.

— Juści ta sobótka, to studencka robótka, rzecze piérwszy.

— Jakżebyśmy tam mogli świecić, odpowiadam, kiedy tu wszyscy jesteśmy.

— Ba, rzecze piérwszy. Studenci to tam różne sztuki umieją. Ale patrzajcieno chłopcy, ogień się przemienia; jaki czerwony, śliczny, gdyby słonko wschodzące!

Purpurowy blask ze szczytu wzgórza oblał fantastyczném światłem poblizką okolicę; drzewa, krzewiny, urwiska skał, wystąpiły z cieni nocnych, drgając i chwiejąc się, jakby ożywione. Widok ten wywarł nieopisane wrażenie. Wieśniacy tak się zagapili, że im Sobótka zgasła i tylko smolna dogorywała beczka.

Rzuciłem okiem dokoła: liczba Sobótek co chwila się zmniejszała, gasły ognie jedne po drugich, dalsze i bliższe, nakoniec gdy i nasza na szczycie mogiły zagasła, pożegnawszy wesołe grono, puściliśmy się górzystym gościńcem ku miastu. Wrażenie zamknęło nam usta: ta jasność biała i purpurowa dziwnie nastrajała duszę. Północ wybiła, gdyśmy przechodzili rogatkę.

*Wł. L. Anczyc.*

---

# LISTY KOBIÉTY.

## I.

W społeczeństwie naszém od niedawnego czasu, ważne a zbawienne zaszły zmiany. Nadany ku dobremu popęd na tém głównie polega, że poznaliśmy czczość nieszczęśliwéj wzajemnéj admiracyi, że dziś mamy odwagę głośno i otwarcie przyznawać się do błędów, z których da Bóg wyleczymy się przy wspólnéj uczciwéj pracy, w Jego imię podjętéj. Dawniéj, gdy ktoś w najczystszym zamiarze odsłonił plamy na zbiorowym narodu naszego charakterze, krzyczano na niego że niewdzięczny kala własne swoje gniazdo; dziś, gdy bez uprzedzenia patrzymy na siebie, gdy nam słońce prawdy przyświeca, widzimy przed sobą długą i mozolną drogę, którą przebiedz sumiennie wypada, zanim nam wolno będzie powiedzieć żeśmy spełnili swą powinność, że nam prawda nie napróżno odsłoniła boskie swe oblicze.

W owym błogim czasie, kiedyśmy przez szkło powiększające na własne patrzyli zalety, powstało zdanie, potém z przyzwyczajenia, bez krytyki powtarzane, że u nas wychowanie i wykształcenie kobiét wysoko stoi. Pragnęłabym z serca aby tak było, ale uderzywszy się w piersi, zobaczmy czy tak jest rzeczywiście. Nie wdaję się tu w porównania z ukształceniem mężczyzn, bo to inna kwestya; chodzi mi tylko o to, czy istotnie wychowanie i wykształcenie naszych kobiét niewiele zostawia do życzenia. Przypatrzmy się temu bliżéj.

Nieszczęśliwa mania cudzoziemczyzny, wyszydzona przez tylu zdolnych pisarzy, nurtuje jeszcze nasze społeczeństwo, poprawa zaś nie jest radykalną, ale tylko częściową. Kiedyśmy wszyscy na życie poważniéj spoglądać zaczęli, poznawszy że lekkomyślne lub kłamane wesele niezawsze nam do twarzy, że nas z czasem na bezmyślnych wykieruje arlekinów,—zwrot na dobrą drogę zaczęliśmy od ofiar, od wyrzeczenia się zdrożnych i zbytkowych nawyknień, które nam drugą stały się naturą; kobiéty złożyły stroje, mężczyźni przekonali się że bez kart i wina życie ani powabu, ani wartości nie traci, a wszyscy, porachowawszy się z przeszłością, w chęci nagrodzenia jéj niesprawiedliwości, zwrócili się sercem ku młodszéj braci, pragnąc na godach życia do wspólnego przypuścić ją udziału.

I w tym jednak czasie ogólnego dla dobra i piękna zapału, matki, owe przewodniczki młodego pokolenia, zapisywały z Francyi i Szwajcaryi guwernantki, aby w ogólnéj harmonii zdrowych chęci, sprostowanych pojęć i pięknych czynów, zabrzmieć fałszywą nutą rozstroju. I taka to jest piérwsza podwalina wychowania młodéj dzieweczki, przyszłéj żony i matki, przyszłéj pani swych poddanych i obywatelki.

Powié kto może iż wyjątki nie stanowią ogólnego prawidła. Prawda że nie każda matka córkę swą cudzoziemce powierza; ale któraż, czy przyjmując do domu nauczycielkę, czy oddając córkę na pensyą, na francuzki język przedewszystkiém nacisku nie kładzie? Religia, język ojczysty, naturalnie na drugim położone tu planie, bo znajomość ich gruntowna do popisu się nie przyda. A ta męka biédnych dzieci, którym pod karą niewolno ojczystym odzywać się językiem, żeby w obcym nabyły wprawy, czyż nie jest dobrowolną, zgubną do rozwoju młodocianych umysłów zaporą? Doprawdy! to jakieś średniowieczne barbarzyństwo, z którego sądząc, poważni cudzoziemcy muszą nas za małoletnich uważać i z politowaniem wzruszać ramionami, że poświęcamy tyle rzetelnych korzyści, dla osiągnięcia tak błahéj.

A jednak wszyscy tak robimy, wszyscy zmuszamy swoje i cudze dzieci, aby nam swe wyobrażenia w pożyczanéj malowały mowie; i nauczycielki i ochmistrzynie płyną z wodą, za zwyczajem ogólnym, choć w niejednéj odzywa się przeciw niemu zdrowy rozsądek. Bo mówcie co chcecie, u nas niéma wyrobionéj opinii, skrzywione prostującéj pojęcia, za któréj przeważnym głosem iśćby musieli silniejsi i słabsi, bo wstyd pozostać w tyle w dzień biały. Dziś w całéj Polsce nie znajdzie zakładu naukowego dla kobiét, (boć o takim białym kruku zdarzyłoby się posłyszéć), gdzieby obce języki reju nie wodziły. I niéma się czemu dziwić, bo gdyby się znalazła tak odrębnych pojęć przełożona, któraby, przypuśćmy, obce języki wykluczyła, a zakres innych wiadomości natomiast rozszerzyć chciała, lub gdyby tylko objawiła śmiało, że w jéj zakładzie językom obcym podrzędne naznaczono stanowisko,—ktożby jéj wtedy powierzył wychowanie polskich dziewcząt, którym przecież ko-

niecznie, podług dzisiejszych pojęć, język francuzki do spełnienia ich powołania jest potrzebny? Któraż matka weźmie do swych dzieci nauczycielkę, choćby najwięcéj ukształconą, jeżeli ta nie posiada języków?

Jest więc u nas źle pod tym względem, a lepiéj być nie może, póki opinia się nie wykształci i działać na ludzi przeważnie nie zacznie. Pod jéj światłém przewodnictwem języki obce, jeśliby nie zupełnie usunięte w przyszłości zostały, to inną odgrywałyby rolę, stawszy się *środkiem*, nie *celem*. Zyskanego czasu jakże korzystnie użyćby można na gruntowniejsze poznajomienie się z religią, językiem, historyą i literaturą ojczystą. A przydałoby się to bardzo. Zmniejszyłaby się wówczas liczba kobiét błyszczących w salonach gładką francuzczyzną, zręcznym dowcipem i zbyt wcześnie z nieśmiałości wyzwoloném obejściem, a mielibyśmy więcéj szczerych polskich dziewic, ugruntowanych w wierze przodków, równie dalekich od niedowiarstwa, jak od bigoteryi. Znając przeszłość narodu naszego, ukochałyby sercem całém wielkie historyczne postacie i cnoty dawne domowe; wykarmione pieśnią starą i podaniem, ukształcone na rodzinnych wzorach, znałyby stanowisko swoje, i stanąwszy raz na niém pewną nogą, umiałyby wytrwać do końca, bronić go z poświęceniem. Wtedy nie kłamałyby przeszłości, nie oddalały przyszłości, z chaosu różnorodnych dążeń i pojęć umiałyby wyróżnić prawdę, umiałyby żyć....

Dziś panienka czy na pensyi, czy pod dozorem prywatnéj nauczycielki przez lat kilka na jéj kształcenie przeznaczonéj, uczy się mnóstwa przedmiotów, ogólnym wychowania programem objętych. Rzecz jasna jak słońce, że wyuczy ich się przez te lat kilka tylko powierzchownie; a rzadko znów która pracuje daléj nad sobą. Na piérwszy rzut oka zdaje ci się ukształconą, uważasz że ma wiele wiadomości; ale pobądź z nią dni kilka pod jednym dachem, a poznasz z żalem, żeś w kilku rozmowach wszystko wyczerpał, że w owych wiadomościach chaos nieopisany. A cóż dopiéro mówić o jasnych pojęciach, wyrobionych zdaniach, gruntownych zasadach? Piérwsze często skrzywione, drugie chwiejące się, trzecie wątpliwe; to wszystko bowiem w wychowaniu są rzeczy podrzędne, kształcone mimochodem, obcym podsycane żywiołem.

Matki polskie! starajcie się same o gruntowniejsze wychowanie swych córek i wymagajcie w téj myśli pomocy od swoich współpracowniczek, bo te córki wychowają przyszłe pokolenie! Nam w życiu nie świetnych motyli, nie skocznych a lekkich trzeba piosenek, przed nami poważna a święta praca, przed nami droga nie kwiatem, a cierniami zarosła; nam trzeba rąk silnych, które nie splatać wianki, lecz nieraz boleśnie krwawiącém skaléczyć się muszą cierniem, bez skargi, bez jęku, jak przystało na mężną niewiastę, co ma być skarbem naszéj przyszłości, nowych pokoleń przewodniczką. Wołajcie o gruntowność w nauce, a przedewszystkiém o to, aby główną wychowania podstawą była religia, nie na samych teoryach, ale na dzielnym oparta przykładzie.

Skutkiem zwichniętych pojęć, panuje dziś w młodzieży jakieś dziwne lekceważenie obowiązku. Nauka dla uczennicy jest rzeczą podrzędną, dodatkową; uczy się, bo tak wypada, ale o zapał ani pytać. Dla piérwszego lepszego powodu opuszcza lekcye i marnuje czas drogi; żyjąc wcześnie w świecie, nieobca jego wrażeniom, do towarzystwa dorosłych przypuszczana, wolnéj, niezamąconéj myśli, ani czystego do uprawy serca nie przyniesie w życie. Przejąwszy się źle zrozumianym duchem czasu, który do swych nagina pojęć, ceni tylko wolność osobistą, nie czuje się w obowiązku bezwarunkowo słuchać przepisów i rozkazów swych przełożonych i przesiąka zgubném lekceważeniem tego wszystkiego, co dla jéj młodocianego umysłu świętém i szanownėm być powinno. A któż jeżeli nie rodzice odpowiedzialność za to na siebie biorą?

Streszczam się. Głównemi wadami w wychowaniu kobiét są: brak rzetelnéj religijności, brak gruntowności w nauce, przewaga obcych języków kosztem wiadomości potrzebniejszych i lekceważenie nauki, nad którego zniesieniem nikt nie pracuje. Są to błędy i zboczenia ważne; usunąć je przecież jest w mocy rodziców i nauczycieli, byle nie szczędzili rzetelnéj pracy, i w mocy opinii poważnéj a sumiennéj, któréj wpływ niepodobna by nie miał zrównoważyć wpływu mody, dotąd przeważnie nami kierującéj.

Jest jedna u nas jeszcze mania, któréj, choć wzięta sama w sobie zdaje się nic złego nie przedstawiać, pominąć tu nie mogę. Dlaczego dziś dziewczęta, jak mówić po francuzku, tak i grać na fortepianie koniecznie się uczą? O zdolności tu nikt nie pyta, bo trudno przypuścić aby wszystkie tak bogato natura w talent muzyczny uposażyła; uczą się więc grać dlatego tylko, że tak niby trzeba i wypada, i szczególniéj od lat kilkunastu biédne nasze uszy skazane są na tortury słuchania mniemanych wirtuozek, kaléczących dobry smak i fałszujących tony. Po co ta wyłączność uprzywilejowana muzyki, z ujmą innych talentów? Sama ta jednostajność nuży ckliwością i cechuje brak estetycznego zmysłu. Niech się uczą i kształcą w muzyce te, co do niéj prawdziwe okazują zdolności; na innych zaś sztuka nic nie straci, a rozpatrzywszy się w ich usposobieniach, na właściwszą powiedziemy je drogę. Niech jedna, zgodnie z wrodzoném upodobaniem i objawiającym się talentem, zwróci się do rysunku i malarstwa; innéj, co zgrabne składa wiérszyki, podajcie do kształcenia się na dobrych wzorach sposobność, niech się łamie z trudnościami, aż wreszcie zwalczywszy je, ojczystym językiem poprawnie i pięknie wyrażać się nauczy; inna niech się wprawia w piękne głośne czytanie, niech arcydzieła naszych wieszczów w czystéj, pełnéj czucia i pojęcia odda deklamacyi; inna niech kształci nauką głos miły od natury otrzymany, niech śpiewem chwałę Pana głosi, wielbi dobro i piękno; inna wreszcie niech się przykłada do robót, które w ręku zręcznéj kobiéty niepospolitego nabiérają wdzięku, świadcząc o jéj dobrym smaku, i niemało przyjemności i pożytku przynieść mogą. Inżbyśmy w ten sposób zyskali urozmaicenia! A zresztą może i sztuka, monopolem muzyki nie ścieśniona, zyskałaby w innym kierunku niejedną zdolną pracowniczkę.

Wszystko to są rzeczy dobrze wiadome i znane; ale niedosyć wiedzieć o złem, zaradzić mu jeszcze trzeba. A możeż być na to czas odpowiedniejszy, jak w obecnéj chwili, kiedy przy ogólnéj szkół naszych reorganizacyi, przy rozbiorze wad wychowania, i żeńskie zakłady mają obszerniejsze przed sobą pole? Pragnęlabym szczerze aby jakie zdolne pióro, kierujące opinią publiczną, podjęło niektóre z pobieżnie rzuconych tu kwestyj; może wtedy matki i nauczycielki wzięłyby do serca łatwo dającą się uskutecznić poprawę wychowania i wykształcenia naszych dziewcząt, — i piérwsze pozbywszy się modnych uprzedzeń, drugie zwalczywszy przeszkody, wstąpiłyby na właściwą drogę, poważniejszy wychowaniu kobiét nadając charakter.

*J.*

---

RZECZ

## O KSIĄŻKACH PRZEZNACZONYCH DLA LUDU.

Bogu niech będą dzięki za ogólne poczucie potrzeby uczenia się i obowiązku nauczania zaniedbanego pod względem oświaty ludu naszego.

Dziś już nie będą nam urągać zachodnie ludy, że o braci naszych chłopów, rzemieślników i klassę służebną nie dbamy, bo niéma gazety w któréjby nie było doniesień o cudownym że tak powiem postępie tworzenia szkółek po wsiach i miasteczkach, o zakładaniu czytelni przez przodujących nam w oświecaniu ludu wiejskiego kapłanów, samych obywateli i czcigodne matrony nasze, które z pomocą córek swych i wychowanic, z anielską dobrocią przygarniają do siebie nietylko lud powierzony ich opiece, ale i wszystek inny, z którego oczu odgadną lub ust usłyszą choćby najmniejszą skłonność do oświaty.

Nauka z takim zapałem krzewiąca się, niechybnie oświeci nasz rozum, a ten, uwyraźniając nam coraz bardziéj cel i zadanie życia naszego, nie dozwoli ostygnąć w najszlachetniejszém przedsięwzięciu upowszechnienia oświaty.

Lecz ponieważ i nauka jest pracą, którą można łatwiéj lub mozolniéj uskutecznić, przeto wiele zależy od pomocy autorów dzieł dla ludu poczynającego się uczyć, tém więcéj że już nie same dzieci, ale i dorośli, a nawet starzy ludzie pragną się oświecać z książek dla nich przystępnych, rozwijających zasady religii, moralności, i przyrodoznawstwa. Wprawdzie wszystkie dzienniki nasze ogłaszają nam coraz nowe wydania dla ludu; lecz jakże to trudny wybór dla nieznającego stopnia zasługi autorów! A takich podobno jest nas najwięcéj, nas, co zajęci rzemiosłem w polu czy przy warstacie, pragnęlibyśmy czas wolny od pracy spędzić na czytaniu pożytecznych rzeczy. Takim to już niéma co wybiérać, ale brać książkę po książce i karmić umysł zdrową czy marną strawą, byle nie próżnować.

Lecz pytam się jaki z tego rezultat? oto że za naszą pracę przyjdzie nam się wstydzić przed słuchaczami, litośnie się z nas i piszących takie książki naśmiéwającymi. Ja, choć nie uczony, ale przezorniejszy od wielu, nie znając autorów trafnych dzieł dla ludu, wyrozumowałem sobie iż najlepiéj będzie kupować książki od tak zwanych postępowych wydawców, bo ci zapewne już to sami, już téż z pomocą światłych pisarzy naszych, wybierają dzieła mogące ogółowi pożytek moralny, a im korzyść materyalną przynieść. Jakoż będąc w Warszawie, kupiłem u p. Gebethnera trzy książeczki pod tytułem „Gadki i powiastki dla tych, co lubią czytać pożyteczne rzeczy.“ Zachęcony tytułem pociągającym tego wydania, zanim wziąłem się do czytania książki powierzonym méj opiece ludziom, przejrzałem ogólnie zawarte w niéj niektóre powiastki, i uderzony płaskością tych baśni, postanowiłem szukać w nich co może być najlepszego. Ale o biédo nasza! nic oprócz bredni najfatalniéj ustawionych nie znalazłem. Czytając je, przypomniałem sobie swój wiek dziecinny, kiedy w czeladnéj izbie towarzyszom stary pastuch podobne opowiadał baśnie. Lecz to był pastuch, w odległych stronach Podlasia, od którego bredni rodzice mnie odpędzali, ażebym, jak mówili, nie przywiązywał wiary do fałszów, od których trudno jest potém odwieść obałamucony umysł młodego.

Aby mnie kto z czytających tę opinią o pomienionėm wydaniu p. Gebethner nie posądził o złośliwość, przytoczę tu treść powiastki pod ponętnym tytułem *Matka i anioł*.

Przed laty żyła w pewnéj wiosce bogobojna, cnotliwa lecz biédna wdowa, obarczona kilkorgiem drobnych dziatek. Podczas ciężkiéj jéj choroby, przysłał Pan Bóg anioła-stróża po jéj duszę; lecz anioł, litując się nad nędzą i płaczem przyszłych sierot, uprosił śmierci, aby jeszcze nie zabiérała dzieciom matki. Stało się zadość prośbie; ale gdy anioł wrócił do Boga bez duszy wdowy, rozgniewany Stwórca, za karę zesłał go na ziemię, aby tam w postaci człowieka przez trzy lata służył za parobka. Jakoż posłuszny anioł spełnił rozkaz Boga, przyjął służbę u pewnego pana i spełniał ją jak należało: jedno to tylko gniewało pana jego, że anioł wcielony nigdy nie chodził do kościoła. Pewnego razu sam pan zawiózł sługę do kościoła; ale ten, zamiast wejść na odprawiające się nabożeństwo, chodził po cmentarzu i rzucał kamieniami na kruki które na kościele siedziały. Dostrzegłszy to pan, wymówił słudze nieposłuszeństwo i brak pobożności, a ten mu odpowiedział: Jestem aniołem w ludzkiéj postaci, zesłanym z nieba za karę; lecz nie mogę znieść widoku ludzi w kościele, którzy zamiast się modlić, myśl swoją innemi rzeczami, jakby latającemi krukami, zaprzątają.

Takie to pojęcie o Bogu, jego miłosierdziu i o sługach Jego aniołach, autor tych powiastek chce pomiędzy ludem wiejskim krzewić. Myli się jednak bardzo; bo niéma już teraz nawet pastuszka od cieląt, któryby takim baśniom uwierzył, a każdy ze starszych kmieci zgorszyłby się tak autorem, jak i czytającym, że śmią im Boga tak niegodnie przedstawiać.(*)

Nie rozbieram innych powiastek, bo szkoda czasu. Kto ciekawy, niech je przeczyta, a niezawodnie całe to dziełko przeznaczy na spalenie, aby się między ludem wiejskim podobne nauki nie rozchodziły.

Gdy więc na wydawców nawet bardziéj postępowych liczyć nie można, warto zaiste pomyśléć jakimby sposobem uchronić kraj od zasypywania go lichemi utworami. Rzecz to niezmiernie ważna, i dlatego mniemam że redaktorowie pism peryodycznych powinniby poddać tę kwestyą pod rozbiór grona ludzi światłych i kraj miłujących, a zebrawszy najtrafniejsze uwagi, podawać je do publicznéj wiadomości, aby tym sposobem dojść do jakiegoś rezultatu.

Co do mnie, nic lepszego w téj mierze przedstawić nie mogę, nad wniosek obywatela pułtuskiego A. Ł., w Nrze 123 Tygodnika Illustrowanego ogłoszony, który nie wiem z jakiego powodu nie znalazł w kraju dostatecznego odgłosu:

1. Aby zebrać grono ludzi uczonych a praktycznych w rodzaj komitetu, któryby podawał do konkursu napisanie dobrych dziełek dla ludu w różnych przedmiotach.

2. Aby utwory przez komitet za najlepsze uznane, dobrze były wynagrodzone, a następnie zbywane księgarzom, którzy chętnie je nabędą i niezawodnie lepiéj na nich wyjdą, niż kupując, jak to dotąd ma miejsce, bez wyboru i ocenienia.

Z takich to wydawnictw lud naszéj opiece powierzony niechybną odniesie korzyść i błogosławić będzie swym panom za troskliwość o prawdziwą ich oświatę.

Tymczasem zaś, idąc za przykładem p. A. Ł., składam w redakcyi Tygodnika Illustrowanego złp. 20 na zebranie funduszu dla autorów konkursowe dzieła dla ludu piszących.

*R. z Opatowskiego.*

---

(*) Jakkolwiek zdanie szanownego korrespondenta nie jest bezzasadném, wszelako na obronę wydawców powiedzieć należy, że *Gadki i powiastki* wyjęte są ze *Szkółki niedzielnéj*, pisma na którém cały lud wielkopolski uczył się czytać i kształcił swój umysł. Pomimo jednak pojęć w Szkółce niedzielnéj rozwijanych, kmiecie nie gorszyli się niemi; co wszakże z drugiéj strony nie dowodzi wcale, żeby lepiéj dobrane i stosowniéj wyłożone przedmioty nie miały być dla nich stokrotnie pożyteczniejszemi.

(Przyp. redak.)

# ROGALIN.

Wieś nad Wartą, o dwie mile od Poznania, w pięknem położeniu, któremu jeszcze sam Rogalin dodaje ozdoby. Na szczycie wyniosłego pagórka, z pośród wysokich brzóz, wznosi się kształtna świątynia gotycka, która nad całą panuje okolicą; na lewo lasy, obsiane pola; naprzeciw świątyni wielki pałac z oficynami w półkole, a na prawo czarowny widok na Wartę, spokojnie płynącą śród łąk, pól i pastwisk nieprzejrzanych; zdala ciemne sosnowe lasy, a w pobliżu rozmaite liściowe drzewa. Rzeka dzieli się tu na dwa ramiona, aby w nie ująć obszerną, łączną i cienistą wyspę. Ponad wierzchołkami drzew mignie się gdzieniegdzie biała bandera statku, co z żaglem rozpiętym suwa się po wodzie. Z téj i z tamtéj strony rzeki ujrzysz liczne stada bydła i owiec, a cały krajobraz mile czyni wrażenie.

Z drugiéj strony pałacu widok zupełnie odmienny. Na piasku wznoszą się dęby, akacye i brzozy, ale nieodpowiednia dla nich musi być ziemia, bo w dziwne wyrosły kształty i wygięcia, obfite w sęki i garby. Pośród lasu folwark i gumna dworskie, zewsząd leśnym otoczone ogrodem; wspomniona zaś wyspa służy także do upiększenia ogrodu.(1)

(1) Ob. Przyjaciela ludu rok IV t. II str. 402.

W r. 1247 Przemysław książę polski potwierdził darowiznę téj wsi przez ówczesnego jéj właściciela księdza Mikołaja kanonika, na rzecz kościoła katedralnego w Poznaniu, z wszystkiemi prawami, jakie naówczas kościelnym służyły posiadłościom.(2) Około połowy XIV wieku, niewiadomo jakim sposobem, stała się własnością prywatną; dość że w r. 1357 był dziedzicem Rogalina Jakusz (Jacussius).(3) Lecz wkrótce potém musiała wrócić do dóbr królewskich, gdyż r. 1360 Kaźmirz król zamienił Rogalin na inne dobra z kawalerami zakonu św. Jana jerozolimskiego i wszystkich im praw swych do téj wsi odstąpił, wyjąwszy polowania na sarny i jelenie. W XV wieku przestała znowu być własnością zakonu. Roku 1481 dziedzicami jéj byli Rogalińscy, albo raczéj rodzina herbu Łodzia, która w tym czasie od Rogalina Rogalińskich nazwisko przybrała. W r. 1511 Mikołaj Rogaliński sprzedał ją Janowi Raczyńskiemu za 300 grzywien groszy średnich (mediorum grossorum). Następnie w XVI wieku z rąk do rąk przechodziła, stając się kolejno własnością Konarskich, Małachowskich, Baranowskich, Gorajskich i Zakrzewskich. Helena Zakrzewska wniosła ją w dom Arciszewskich, jak świadczą akta grodzkie poznańskie z r. 1604. Ona była matką Krzysztofa Arciszewskiego, sławnego wodza wojsk holenderskich w Brazylii i następnie generała artyleryi w Polsce, który urodził się w Rogalinie i tu przepędził piérwsze lata swéj młodości. Umarł r. 1656, a zwłoki jego w pożarze miasta Leszna w tymże roku spłonęły. W dziele Theatrum Europaeum znajduje się wizerunek jego i plan twierdzy Parvacaon przez niego rysowany. Historya menniczna rzeczypospolitéj holenderskiéj, napisana przez Gerarda von Loon, szeroko opisuje wyprawy jego i czyny w Brazylii. Na pamiątkę tego męża kazali Holendrzy w r. 1637 wybić medal półtrzecia cala średnicy mający, opisany obszerniéj w Pamiętniku warszawskim z r. 1809 Nr. VII i w Spisie medalów polskich Feliksa Bentkowskiego, wydanym w Warszawie 1830 r. O samym zaś Arciszewskim piszą: Siarczyński w obrazie wieku panowania Zygmunta III i t. d. Poznań 1843 r.; Sobieszczański F. Maks. O życiu i sprawach Krzysztofa z Arciszewa Arciszewskiego generała artyleryi i t. d. z wizerunkiem, Warszawa 1850 r. Ostatnie dzieło umieszczone było poprzednio także w Bibliotece warszawskiéj z r. 1748.(4)

W r. 1605 Helena Arciszewska sprzedała Rogalin Mikołajowi Manieckiemu za 12,000 ówczesnych złp. Później posiadali jeszcze tę wieś Unruhowie, Szlichtyngowie, Krzyżanowscy. Nakoniec stała się własnością hr. Edwarda Raczyńskiego, pamiętnego w literaturze naszéj z wydawnictwa wielu dzieł i założenia w Poznaniu publicznéj biblioteki, który w Rogalinie zwykle przemieszkiwał. Dziś należy z całą majętnością do syna jego, Rogiera Raczyńskiego.(5)

W pięknym pałacu, mieszkaniu dziedziców, pokrytym dachówką i blachą, pomiędzy innemi osobliwościami jest wielka sala przeznaczona na zbrojownię, wytwornie urządzona. Napełnioną była dawniéj rozmaitego rodzaju bronią starożytną sieczną i palną, a między innemi znajdowały się tu dzidy i miecze z czasów piérwszych wojen krzyżackich, znalezione w rozmaitych stronach Wielkiéjpolski. W bibliotece tutejszéj, prócz innych rzadkości, znajduje się bogaty zbiór rękopisów, nieoceniony dla badaczów i miłośników rzeczy ojczy-

ROGALIN. (Rysował z litografii Podbielski).

(2) Ob. Rzączyńskiego Codex dipl. str. 37.

(3) Ob. Akta kapituły poznańskiéj i ks. Jabczyńskiego Rys historyczny Dolska, str. 117.

(4) I pismo nasze w tomie I na str. 17 i nast. podało szczegółowy jego życiorys, wraz z wizerunkiem. (Przyp. redak.)

(5) Edw. Raczyńskiego Wspomnienia wielkopolskie t. I str. 278 i Przyjaciel ludu r. VIII t. II str. 314. *(Ob. Dod.)*

## SZACHY.

ZADANIE CXI

Białe zaczynają i dają mata za czwartém posunięciem.

*Czarne.*

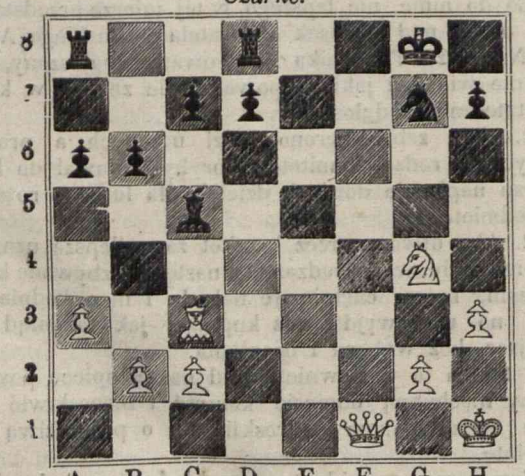

*Białe.*

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 110.

| *Białe.* | *Czarne.* |
|---|---|
| 1) F 2 — A 7 † . . . . | 1) C 7 — C 6. |
| 2) F 8 — F 6 † . . . . | 2) H 3 — E 6. |
| 3) A 4 — A 3 . . . . . | 3) A 6 — A 5. |
| 4) D 3 — E 4 † . . . . | 4) C 6 — B 5. |
| 5) A 7 — B 7 † . . . . | 5) B 5 — C 4. |
| 6) E 4 — D 3 † . . . . | 6) C 4 — C 3. |
| 7) B 7 — B 3 † . . . . | 7) E 6 — B 3 biorą. |
| 8) E 7 — B 4 † . . | 8) A 5 — B 4 biorą † i mat. |

## REBUS.

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 140.

*Kaźmirza Wielkiego wsławiły bardziéj dzieła w pokoju znakomite, aniżeli czyny wojenne.*

*(Dodatek).*

stych, jak naprzykład sławne akta Tomickiego (Akta Tomiciana), rękopisma Ciświckich i inne.(6)

Za pałacem rozciąga się mały, strzyżony ogród francuzki, w pierwotnym stylu wiernie dochowany; daléj park angielski, ozdobiony kilkowiekowemi dębami, pod któremi może jeszcze sławny ów Krzysztof Arciszewski w dziecinnych swych latach igrał. Wszystko to łączy się z lasem.

Domów liczy ta wieś 40, po większéj części z drzewa i gliny budowanych, słomą lub dranicami krytych. Ludność składa się z samych Polaków katolików, a trudni się uprawą roli, hodowaniem bydła i zarobkiem dziennym. Pomiędzy tymi mieszkańcami jest dziewięciu zamożnych gospodarzy, którym w r. 1848 hr. Rogier Raczyński wszelkie czynsze podarował. Ludzie do dworu należący, szczególniéj pracowici z pomiędzy nich i pilni, mają się także nieźle, gdyż zmarły Edw. hr. Raczyński ciągłą im dawał sposobność zarobkowania. Ubiór tego ludu, zwłaszcza mężczyzn, jest staropolski; niewiasty tylko na nieszczęście odstąpiły bardzo od tego stroju.

Rogalin należy do parafii kościoła we wsi sąsiedniéj Rogalinku, lecz w czasie wizyty Rogalińskiego była w pałacu kaplica, w któréj się nabożeństwo dla właścicieli Rogalina i dworskich ludzi odprawiało. W naszych czasach zniósł tę kaplicę Edw. hr. Raczyński i w r. 1820 wystawił tu prześliczny kościołek, na wzór świątyni w Nismes w południowéj Francyi, znanéj pod nazwiskiem *maison carrée*, czyli dom czworoboczny, którego opis i rysunek daliśmy w tomie I naszego Tygodnika, na str. 60 i nast. Pod tym kościołem znajduje się grobowa kaplica w gotyckim stylu, z jednym ołtarzem, a po bokach w ścianie są nagrobki z napisami. Tu Edw. hr. Raczyński sprowadził zwłoki przodków swoich z Woźnik, a między niemi także zwłoki marszałka wielkiego koronnego Kaźmirza Raczyńskiego.

Lasy rogalińskie były zawsze bardzo znaczne, jak to widać z przytoczonego wyżéj szczegółu, że Kaźmirz Wielki zastrzegł sobie w nich polowanie. W cztéry wieki późniéj były jeszcze te knieje tak dalece gęste i zarosłe, iż służyły za schronienie rozbójnikom i ludziom szukającym w nich zdala od świata ustronnego schronienia. W końcu jeszcze zeszłego wieku widziano przy drodze do Poznania prowadzącéj, wśród gęstych zarośli, mogiły pomordowanych podróżnych. Obok nich wznosił się krzyż wystawiony na grobie pustelnika, który około r. 1780 tu osiadł, kilkanaście lat przemieszkiwał i w samotności życia dokonał. Nikt nie wiedział zkąd przybył, nikt nie znał jego pochodzenia, tylko głębokie blizny i ślady ran odniesionych, jednały mu poszanowanie okolicznych mieszkańców, którzy potrzeby jego zaopatrywali. Dzisiejsze lasy Rogalina mają rozległości 1338 morgów.

(6) Ob. Opisanie historyczno-statystyczne w. ks. poznańskiego, wydanie lipskie Bobrowicza str. 383.



## Ostatni książęta Mazowieccy.

*(Dokończenie.)*

III.

Król Zygmunt I, po pogrzebie Janusza, ostatniego z książąt mazowieckich, opuścił Warszawę i pojechał do Krakowa, zostawiwszy swoje załogi w Mazowszu. Ster rządów w księztwie objęła księżniczka Anna, siostra zmarłych, z przybraną radą panów mazowieckich, a głównie kasztelanów: warszawskiego, wyszogrodzkiego, ciechanowskiego, zakroczymskiego, liwskiego i wizkiego, pod przewodnictwem wojewody mazowieckiego. Ślad tego znajdujemy w przywileju nadanym przez tęż księżniczkę miastu *Rożan* w r. 1526.

Znaczną część majątku swego przeznaczyła tak na wystawienie pomnika grobowego dla zmarłych braci, jakotéż na ozdobę samego kościoła św. Jana, gdzie snem wiecznym spoczęli. Jéj nakładem wzniesiono wysoką wieżę i ułożono w nim marmurową posadzkę.

Król dał jéj uposażenie dostateczne w ziemiach, gotówce i opatrzeniu potrzeb stołowych, i niezadługo księżniczka Anna oddała rękę Stanisławowi Odrowążowi, kasztelanowi wówczas lwowskiemu.

Starsza jéj siostra Zofia, „panna najurodziwsza i wybornie wychowana,“ (jak się wyraża Bernard Wapowski), wydana za Aloizego Pechri magnata węgierskiego, a oddawszy po owdowieniu rękę Stefanowi Batoremu wojewodzie siedmiogrodzkiemu, otrzymała w r. 1528 doposażenie, to jest dopełnienie dawnego posagu, od króla Zygmunta I, za wstawieniem się Ludwika króla węgierskiego.

Stanisław ze *Sprowy* Odrowąż, znakomitego rodu, owdowiawszy młodo po śmierci małżonki swéj Katarzyny, córki Łukasza Górki, wojewody poznańskiego, zaufany w łaskach królowéj Bony, zwrócił oczy na księżniczkę Annę mazowiecką, rojąc nadzieje, że z jéj ręką, może potrafi zyskać i dostojność udzielnego księcia na Mazowszu.

Właśnie była to chwila, kiedy Zygmunt I rządy téj krainy pozostawił w ręku Anny.

Odrowąż do rodowitego majątku, za przeważnym wpływem Bony, trzymał zastawą od króla ojcu swemu wypuszczone, największe w rzeczypospolitéj starostwo samborskie; niedosyć na tém, wyjednała mu jeszcze królowa województwo podolskie i starostwo lwowskie, z dożywociem na obu starostwach.

Księżniczka Anna, osierocona po śmierci matki i dwóch braci, przyjęła chętnie swaty Odrowąża. Otrzymawszy jéj rękę, zapragnął gorąco dojść do celu swych marzeń, tém bardziéj że wielu panów mazowieckich stanęło po jego stronie, pragnąc dawną niepodległość Mazowsza utrzymać.

„Nie taili się Mazurowie (pisze Święcicki) z przychylnością dla Odrowąża, który wysokiém urodzeniem i przymiotami celując, ożeniony z młodszą siostrą książąt, miał pozorne prawo dochodzenia dziedzictwa tego państwa. Przywykli do panowania własnych książąt, niechętnie przechodzili pod władzę monarchy, nad możnemi narodami panującego; rozumieli albowiem, że nie mogąc się po pańsku utrzymywać, zostaną zaniedbanemi i pogardzonemi. Lecz Zygmunt tyle miał od natury mądrości i umiarkowania, że postawą i mową wszystkich pociągał do siebie.“

Nietylko ta uwaga robiła niechętnych Mazurów na przyłączenie księztwa do Korony: wiedzieli że prawa ich ulegną zmianie i zastosowaniu do praw rzeczypospolitéj, a w miejsce rozkazów udzielnych książąt, będą musieli słuchać rozporządzeń urzędników królewskich.

Odrowąż w krótkim czasie zyskał tak przeważną liczbę stronników przychylnych jego zamiarom, że Zygmunt I, chcąc przeprowadzić wcielenie Mazowsza do Korony, pośpieszyć musiał do Warszawy, gdzie przysięgę wierności od wszystkich Mazowszan odebrał.

Energiczne wzięcie się króla, zniszczyło zamiary Odrowąża. Zygmunt I przeznaczone księżniczce Annie uposażenie odebrał, a wzamian tego przeznaczył jéj i wypłacił sto tysięcy czerwonych złotych. Tak Anna jak i jéj siostra Zofia podpisały akt zrzeczenia się swych praw do Mazowsza, na rzecz króla i jego następców.

Pomimo to Odrowąż, przybrawszy tytuł księcia mazowieckiego, z dóbr swéj żony tak rychło nie ustąpił, jak tego sobie życzyła Bona, a nawet wymagał pewnych opłat za jéj dziedzictwo. Dobry i łagodny król, który zawsze w mowie, a nawet i w przywilejach osieroconą księżniczkę Annę nazywał *ukochaną córką*, puściłby w niepamięć ten wybryk młodego możnowładzcy; ale Bona, przychylność swoję dla Odrowąża zmieniwszy na nienawiść, srodze poczęła go prześladować.

Stanisław Górski, sekretarz Piotra Tomickiego biskupa krakowskiego, a współczesny tym wypadkom, pisze: iż Bona całą złość zwróciła na małżonków Odrowążów, „pragnąc bezpotomnego zejścia Anny, ażeby jéj posagu nie płacić i całe Mazowsze, złoto, srébro, klejnoty i skarbiec, który nader wysoko ceniono, zagarnąć mogła; albowiem królowa wszystkich umierających rozumiała się być dziedziczką.“

Pod hasłem przeto obrażonego majestatu, rozpoczęła przeważny swój ucisk. Mimo zapewnionego dożywocia podpisem ręki królewskiéj, Odrowąż utracił starostwa; znaleźli się bowiem na skinienie Bony prawnicy, którzy wykrętném tłumaczeniem zapisy owe za nieważne uznali.

Nadszedł sejm walny w Krakowie 1536 r. Przybył Odrowąż z małżonką, a w niedoli swéj oboje rzucili się do nóg króla i królowéj, żebrząc łaski i miłosierdzia. Wielu senatorów i posłów wstawiało się za nieszczęśliwemi małżonkami. Zygmunt I byłby się ułagodził; ale zawzięta Bona, śpiesząc się już do Mazowsza, na którém otrzymała sprawę, nie dała się zmiękczyć ani ich prożbami, ani łzami.

Spłacono Odrowążowi summę zastawną z Samboro, któréj znaczną część wierzyciele jego, na rozkaz królowéj, rozebrali; resztę zaś Bona zabrała i przywłaszczyła sobie.(1)

(1) Autor życia Piotra Kmity opisuje nam tę sprawę szczegółowo. Dajemy tu wierny przekład tego ustępu.

„Odrowąż na krótki czas przed wyposażeniem królowéj (Bony) mianowany został wojewodą podolskim i starostą lwowskim i samborskim. Ożenił się z pannę Anną, siostrą książąt mazowieckich bezpotomnie zmarłych, których rodzina męzka od Piastów idąca wygasła. Ta księżniczka, gdy Mazowsze przez śmierć książąt osierocone, do Korony wcielone zostało, miała sobie na Mazowszu wyznaczone od króla niektóre posiadłości, dopókiby za mąż nie poszła, nie na dziedzictwo wszakże, lecz tylko na swój użytek. Odrowąż, pojąwszy ją za małżonkę i odebrawszy posag jéj od króla, naówczas już pana Mazowsza, jako młody i od nierozsądnych podmawiany, nie chciał wraz z żoną z tych posiadłości ustąpić, dopókiby król tychże od nich nie odkupił i zadość nie uczynił prawéj sukcessyi. Upominany łagodnie od króla po kilka razy tak listownie, jako i przez posłów, ażeby z dóbr tych, które bezprawnie sobie przywłaszczył, ustąpił, wezwaniom tym nietylko zadość uczynić nie chciał, ale nadto tytuł książęcy przybrał. Ścigany przeto pozwami kryminalnemi, wyrokiem sejmowym za obrazę majestatu starostwa lwowskiego pozbawiony został. Starostwo samborskie, które zastawą trzymał, wykupiła królowa, służyło jéj bowiem prawo dożywocia, które przedtém otrzymała. Płakał w tym sądzie Odrowąż, płakała żona jego, padłszy do nóg królowi i królowéj, błagając o łaskę. Wtedy niektórzy z senatorów wstawiali się za obwinionemi, z których piérwszego wiek, drugą płeć i brak dobréj rady wymawiały dostatecznie od przewinienia. Litościwe zaiste było oblicze tego sądu. Król byłby się ulitował; lecz królowa nie dała się wzruszyć ani prośbami, ani łzami, tém bardziéj że jéj o dobra samborskie wielce chodziło. Ta srogość sądu nietylko posłów ze stanu rycerskiego, już nieprzyjaznych królowi, lecz i wielu innych, całe nawet królestwo tak na króla i królowę rozjątrzyło, iż od tego czasu same tylko przekleństwa na nich miotano. I było wtedy niemałe między wszystkiemi zamieszanie; bo król ustawy, zapisy, dożywocia, przywileje, prawa i wolności państwa zgwałcił, przysięgi poddanym nie dotrzymał, królowa zaś tych, których jéj się podobało, z dóbr królewskich obdzierała, urzędy państwa niegodnym rozdawała i na rozpustę wszystko trwoniła.“

Tak niegodne postępowanie i surowość niesprawiedliwa sądu, oburzyła cały naród. Imię Bony poszło w przekleństwo, a króla, dotąd niepokalane, w ohydę. Następstwem był rokosz pode Lwowem, do którego wraz z innymi stanął Odrowąż.

Kiedy na piérwszym zjeździe pod Bojskami ujrzał szlachtę nieszczęściem swoim wzruszoną, nieżałującą pogróżek na króla, śmiało i szlachetnie wystąpił, ażeby dla sprawy jego wojennéj nie zwłóczyli wyprawy.

„Lubo nie wątpię (mówił), że nie z osobistych powodów, lecz roztrząsając tylko stan rzeczypospolitéj, i moję téż sprawę wtrąciliście; lubo przekonany jestem, że nie zawziętością lub stronnictwem powodowani, lecz ostrzeżeni albo od przyjaciół litujących się nad moim losem, albo od saméjże rzeczypospolitéj, sprawę moję pod szanowną swoję wzięliście opiekę: lecz gdy was rzeczpospolita używa, chciéjcie mnie wypuścić ze swojéj opieki, zapomnijcie mnie, a radźcie o sobie samych, czyli co jedno jest, o rzeczypospolitéj. Co do mnie, los mój na wolę Boską zdaję.“

Niedługo przeżył prześladowanie: umarł wojewodą ruskim w r. 1546, pozostawiwszy wdowę i córkę Zofią

Anna, w smutku i żałobie, zajęta jéj wychowaniem, przeżyła lat 15, zamieszkując w Jarosławiu, dziedzictwie męża swego. Zmarła 1561 r. Nie doczekała téj pociechy, żeby los swego dziecięcia ustalić; zostawiła je sierotą, nie marząc nawet o tém, że syn mściwéj Bony, ostatni po mieczu Jagiellończyk, u nóg téj wątłéj a ostatniéj także latorośli rodu Piastowego, składać kiedyś będzie swe hołdy.

Zofia, jedyna córka Odrowąża i Anny księżniczki mazowieckiéj, szczególny nam wzór niewiasty polskiéj przedstawia. Świadoma nieszczęśliwego losu dwóch swoich wujów ostatnich książąt mazowieckich i własnéj matki, wykarmiona jéj łzami i żywém słowem podania o niedoli całego rodu, odebrawszy staranne i pobożne wychowanie, poślubioną została Janowi hrabi Tarnowskiemu, kasztelanowi wojnickiemu, staroście sandomierskiemu. Krótkie i bezpotomne były związki, bo młody małżonek, dotknięty suchotami, zgasł w kwiecie wieku r. 1567.

Młoda i urodna wdowa zwróciła na siebie oczy króla Zygmunta Augusta, który jéj rękę swoję i tron ofiarował. Ale Zofia, czy zachowawszy w żywéj pamięci nieszczęścia swéj rodziny i prześladowania matki jego Bony, czy unikając blasku korony, wymówiła się od tego zaszczytu.

Jan Kostka wojewoda sandomiérski rozpoczął staranie o jéj rękę, a musiał się wielką do niéj miłością przywiązać, kiedy spotykając opór, użył aż powagi papieża, za którego radą i błogosławieństwem oddała mu dopiéro rękę.

A był to mąż równie dzielny w boju, jak poważny w radzie. Jemu to, po ucieczce Henryka Walezyusza, stan rycerski koronę polską ofiarował, któréj nie przyjął, radząc wybranie na tron Stefana Batorego.

Zofia dostatków swoich używała najszlachetniéj. Wdową jeszcze będąc po Tarnowskim, ufundowawszy w r. 1571, w mieście swém Jarosławiu, kolegium jezuickie pod tytułem św. Jana, założyła obok szpital dla ubóstwa. Co czwartek każdego tygodnia zwidzała go troskliwie; sama pomagając do zgotowania potraw, wydawała je na porcye, słabszych karmiła, a wszystkich wypytywała się o ich potrzeby i te zaraz zaspakajała.(2)

(2) W tymże roku 1571 wydała przywilej dla miasta Jarosławia, którym zatwierdzając dawniejsze prawa, szczegółowo

Opływając w królewskie niemal dostatki, skazała się dobrowolnie na życie pokutnicze.

O północy zrywała się do modlitwy i siłą woli przemagała znużenie swoje. W kościele zaufana panna służebna, w miejsce poduszki, podkładała jéj szczapę drewnianą, na któréj cały czas nabożeństwa przeklęczała. Co rok pieszo na Łysą-górę, do kościoła księży benedyktynów, wsławionego posiadaną cząstką drzewa z krzyża Chrystusowego, na odpusty chodziła, mając na nogach trzewiki bez podeszew. Na téj skalistéj drodze do krwi nogi raniła, a ból i cierpienie ukryć umiała.

Dziecię swoje po urodzeniu na sianie składać kazała, a nim przyszło na świat, kiedy tegoż samego dnia posługując ubogim w swoim szpitalu, zmęczona w komnacie swéj odpoczywała, niepewna życia, te słowa skreśliła:

„Synu miły, albo też córko moja, posłuchaj pilnie tych słów moich do ciebie, a przyjmij je odemnie, jako od miłującéj cię matki, które napisałam tą swoją ręką własną, wtenczas gdym cię porodzić na ten świat miała z łaski Bożéj. Oznajmując pobożną wolę moję, jako matka proszę cię o jéj zupełne wypełnienie. Będąc ja wdową przez siedm lat, z prawego serca życzyłam sobie od Pana Boga tego, abym mu mogła służyć wiecznie w czystości, a dobra fortunne swoje, na cześć i na chwałę Boską prawie wszystkie, by to mogło być, obrócić. Do czego, żem ja żadnym sposobem, choćem tego sobie życzyła, dla wielkich trudności moich przyjść nie mogła, ciebie potomka mego o to upominam i proszę, abyś ty w osobie swojéj mógł to ziścić i chciéć. Do tego niech ci Pan Bóg natchnienia swego i ratunku użyczy. Ślubami żadnemi nie obowiązałam się, ale tylko żądza moja była, żebyś raczéj w duchownym pobożnym stanie Panu Bogu służył, obróciwszy na chwałę Bożą dobra odemnie tobie zostawione. W czém racz cię Panie Boże ratować i sprawować według woli świętéj swojéj. Amen.“(3)

Doglądając w zaraźliwéj chorobie pasierbicę swą Kostkównę, padła ofiarą swego poświęcenia. Zmarła w r. 1580 w saméj sile wieku, bo w 40 roku życia. Pochowana w Jarosławiu w kościele swojéj fundacyi.

Pisarze historyczni nasi, jak: Orzechowski, Sarnicki, Okolski, Nakielski i wielu innych, oddają jéj zasłużone pochwały, stawiając ją jako wzór pań swiętobliwych, tak wdowom jako i zamężnym matronom.

Mąż jéj, Jan Kostka, rok tylko jeden niespełna przeżył tę stratę, w roku bowiem 1581 zakończył życie.

*K. Wł. Wójcicki.*

---

oznacza prawa sukcessyi w rodzinach mieszczan. Ustęp ten zasługuje na uwagę badaczy. (Fr. Siarczyński. Wiadomość historyczna i statystyczna o mieście Jarosławiu. Lwów 1826 r.)

(3) Niesiecki. Wydał 1740 r. str. 412 t. 3.

## KORRESPONDENCYA
## TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Z Galicyi.

Literatura nasza niedawno nową poniosła stratę. Najświetniejszy reprezentant jéj z czasów księztwa warszawskiego, Wężyk Franciszek, kasztelan i b. prezes Towarzystwa Nauk., zmarł dnia 4 maja r. b., (nie dnia 2 maja, jak przez omyłkę podał Czas, a za nim inne pisma powtórzyły). Sześćdziesiąt siedmioletni starzec, do końca życia swego zachował ową czerstwość myśli, bystrość i dowcip, owo zainteresowanie się wszystkiém, które znamionują wyższy umysł i wyższe zdolności. Był czas, kiedy imię Wężyka stało na świeczniku sławy literackiéj. Jako prozaik służyć mógł do ostatnich lat za wzór dzisiejszemu pokoleniu, jak należy pisać jędrnie, z prostotą i poprawnie po polsku. Jako dramatyk, wystąpił przed Felińskim, i przez lat kilka równą Felińskiemu pozyskał sławę, tragedyami *Barbara* i *Gliński*, a nawet niektórzy krytycy, nie bacząc na pieściwe wygładzenie wiersza u Felińskiego, wyższość przyznawali Wężykowi co do siły i zapału. Ani Korzeniowski, ani Fredro, ani żaden dzisiejszy pisarz sceniczny, nie wywołał w teraźniejszém pokoleniu tego zapału, jaki wzniecały tragedye Wężyka między rokiem 1810 a 1830. Kiedy w r. 1820 grano we Lwowie *Glińskiego*, krytyka wypowiedziała o dziele tém zdanie: „Zdumiewają tu dwa charaktery sprzeczne. Gust Adissona i Szekspira wszędzie przebija, szczytne myśli, śmiałe czyny, niezłomne umysły, prawdziwie rzymskie charaktery. Sądząc z wrażenia, *więcéj ta sztuka zajęła* jak Barbara (Felińskiego) i Ludgarda.“ Wężyk najpiérw dał się poznać odami sławiącemi Napoleona i chwałę oręża polskiego; znaczenie jego poetyczne urosło za pojawieniem się tragedyj, a uwieńczoném zostało wydaniem poematu: *Okolice Krakowa*. Dzisiaj poemat ten nowemu pokoleniu literatów jest prawie nieznany; lecz między r. 1820 a 1835 był on podawany za wzór. Mimo trzechkrotnego onegoż oddrukowania, przepisywano go wielokrotnie, uczono się na pamięć i deklamowano. Ten zapał jaki okazano *Pieśni o ziemi naszéj* Winc. Pola, towarzyszył i dziełu Wężyka. Jako powieściopisarz próbował sił, ale nie zaszedł daleko. Krytyka bezstronna i oceniająca pisarza miarą epoki w któréj i dla któréj żył i pisał, przyzna mu jedno z celniejszych miejsc w literaturze. Wymieniam wszystkie jego prace:

1) Na dzień doroczny urodzin Napoleona W. d. 15 maja 1812 r. (wiérsz w 4ce str. 4); 2) Oda na powrót wojska polskiego do stolicy d. 18 grudnia 1809 r. (w 4ce str. 8); 3) Oda z okoliczności ogłoszenia Polski d. 28 czerwca 1812 r. (in folio kart 2); 4) Rzym oswobodzony, scena historyczna w 3 aktach, Warszawa 1811 r.; 5) Kabalista, opera grana r. 1813 w Warszawie (nie drukowana); 6) Barbara Radziwiłłówna, tragedya, Kraków 1822 r.; 7) Bolesław Śmiały, tragedya w 5 aktach, Kraków, 1822 r.; 8) Gliński, tragedya w 5 aktach, Kraków 1822 i 1831 r.; 9) Wanda, tragedya wiérszem w 5 aktach, Kraków 1826 r.; 10) Bezkrólewie, tragedya w 5 aktach wierszem (wyszło pół arkusza r. 1850 w Krakowie, reszta w rękopisie, część w Przeglądzie poznańskim); 11) I ja też, komedya w 3 aktach, Warszawa 1861 r.; 12) Jadwiga, tragedya w 5 aktach (w rękopisie); 13) Okolice Krakowa, poemat, wydania trzy, Kraków r. 1820, 1823 i 1833; 14) Władysław Łokietek, romans w 3 tomach, Warszawa 1828 r.; 15) Zygmunt z Szamotuł, powieść w 3 tomach, Warszawa 1830 r.; 16) Mieszkaniec Krakowa do mieszkańca Warszawy, Kraków, 1829 r., w 8ce, (treści politycznéj o Krakowie); 17) Do Fr. Hechla Dra medycyny, z powodu pisma o pijaństwie, Kraków 1844 r. (W skutek tego pisemka w 4ce o 2 stronicach wyszła ćwiartka p. t. Uwagi z powodu listu Fr. Wężyka, Kraków, 1844); 18) O życiu i zgonie Tekli z Wodzickich Małachowskiéj, wojewodziny krakowskiéj, Kraków 1830 r. w 8ce; 19) Przemowa na pogrzebowym obrzędzie za H. Kamińskiego gen., Warszawa 1831 r.; 20) Trzy mowy na posiedzeniach publicznych Towarzystwa naukowego krakowskiego, r. 1857—9, z dodaniem ułamków z dramatu Jadwiga, Kraków 1859 r., str. 8, 21) i 46. Dwie piérwsze mowy sprzedawano także osobno; 21) Ostatnia mowa na posiedzeniu publiczném Towarzystwa naukowego, Kraków 1860 r.

Była to rzeczywiście mowa ostatnia, ale nie ostatnia praca. Do końca życia ś. p. Wężyk był czynnym, a na miesiąc przed zgonem pisał wiersz żartobliwy do generała Załuskiego, mówiąc o pogłosce mylnéj o swéj śmierci i wróżąc sobie z tego powodu długie życie. Wiérsz ten zamieścił Przyjaciel domowy. Znane są jeszcze jego poezye: Wiersz do Liszta (1843 r.), do Łuszczewskiéj Jadwigi (w Czasie 1853 r.), tudzież prace prozą w Rocznikach Towarzystwa naukowego krakowskiego 1858—59 r. i w *Czasie* dodatku miesięcznym 1856 r. (K. Koźmian i F. Paszkowski biografie). Pisał do ostatniéj chwili pamiętniki życia swego, kreśląc obraz téjże epoki i tychże ludzi o których pisze Koźmian, ale nie zgadza się w wielu rzeczach z Koźmianem i wprost przeciwnie ludzi i czyny osądza. Przynajmniéj tak sądzić wypada z listu jego w r. 1860 pisanego: „Gorsza jest sprawa z Pamiętnikami Koźmiana. Był on albowiem poważny wiekiem, znakomity równie wyższą zdolnością, jak i urzędem; przecież, gdym zajrzał do tych pamiętników, połowę z nich wykreślili spadkobiercy, a jeszcze część zostająca mogłaby być wykreśloną bez szkody. Wszakże gdy żyłem wtedy i należałem do czynności krajowych i jestem cytowany przez dwukrotnego kolegę, to (o czém nie pomyślałem dotychczas) wziąłem się do pióra i skreśliłem mój pamiętnik o czasach na które z blizka patrzałem, o ludziach z któremi żyliśmy obadwa i o wypadkach które nam się przedstawiały zupełnie inaczéj. A chociaż tam prawda jest gruntem rzeczy, zobowiążę me dzieci by nie myślały o druku, jak za lat 25 po moim zgonie. Jest tam i autobiografia, jedynie dla sprostowania omyłek w datach skreślona. Nadmieniam i o tych ludziach, którzy mi byli znanemi, jak np. Radziwiłł panie kochanku, sąsiad moich rodziców, Naruszewicz, nasz biskup łucki, (którego list pisany do mego ojca na dni 10 przed zgonem posiadam), Chreptowicz, Kołłątaj, Dąbrowski, których znałem w méj młodości, Staszic, przed którym uchylałem czapki z daleka. Jest nakoniec i mój nagrobek, który tu wypisuję dla pana, a który tak brzmi:

Dopóki żył,
Choć jadł i pił,
Ludzie go cale nie znali,
Lecz gdy umarł..... pochowali.

Otóż jest moje *curriculum vitæ* i t. d.“

Tyle słów listu. Po dziele tém wiele rokować można, bo sędziwy pisarz do ostatnich chwil zachował dokładną pamięć przeszłości, i wybornie umiał pisać. Że potomność w dziejach literatury inny mu postawi nagrobek, aniżeli sam sobie napisał, o tém ani wątpić. O zasługach Wężyka jako człowieka w publicznym zawodzie odznaczającego się, jako męża który odżywił Towarzystwo naukowe i utrwalił imię swe postawieniem gmachu dla Towarzystwa, jako literata który piérwszy rzucił nowsze pojęcia o dramacie w swoich rozprawach dołączanych do wydanych tragedyj, powinien ktoś napisać obszerniéj; korrespondent poprzestać musi na pobieżnéj wzmiance.

W marcu jeszcze r. b. umarł w Krakowie *Ignacy Kowalski*, b. nauczyciel liceum św. Anny i św. Barbary, w wieku lat 70. Pisząc o nim Gazeta Polska, pomieszała go z *Kajetanem Kowalskim*, także emerytem, nauczycielem gimnazyum św. Anny, który uczył języka greckiego i przełożył Herodota. Kowalski Ignacy pisał r. 1824 o bursach w Krakowie i inne drobne rozprawy treści filologicznéj i pedagogicznéj. Był to zacny w całém znaczeniu tego wyrazu nauczyciel, powolny i wyrozumiały dla uczniów; zyskał też ich miłość i szacunek. Rad wykładał język i literaturę polską, które znał gruntownie.

O śmierci *Juliana Lubienieckiego* w dniu 13 marca r. b. doniosły już czasopisma. Jego dzieła: Pasieka w ulach Dzierżona, Lwów 1856; Nauka dla pasieczników, Lwów 1859 r.; nadto rozprawy umieszczane w pismach rolniczych, Przyjacielu Domowym i Dodatku tygodniowym do Gazety Lwowskiéj, tudzież broszurowe szermierki z ks. Janem Naumowiczem; jego zakład i szkoła pszczolarzy w Przemyślanach, udowodniły iż zarówno był biegłym nauczycielem, jak najlepszym pisarzem w téj dziedzinie nauki. Uczniowie jego rozeszli się po kraju i zakładają szkoły, a prawdy wypowiedziane w jego dziełach stanowią podstawę nauki pasieczników w nowo powstających szkołach.

Dnia 12 marca zmarł w Krakowie *Karol Teodor Soczyński*, b. professor uniwersytetu Jagiellońskiego, Dr medycyny i senator. Liczył podobno lat 82. Znaném jest imię jego z wyszłéj broszury Ferdynanda Kojsiewicza, p. t. O leksykonie sztuk pięknych, w 24 tomach wypracowanym, słów kilkanaście, Kraków 1858 r., str. 40. Soczyński pisywał drobne rozprawy do Pszczółki krakowskiéj, Przyjaciela ludu i t. p., lecz te nie mają wartości. Umieścił w Rocznikach Towarzystwa naukowego rozprawę o dyamentach. Napisał uszczypliwy wiérsz o ucieczce Ferdynanda: Pieśń huzara węgierskiego o kampanii r. 1809, in folio, 1 karta, druk Mateckiego w Krakowie, staraniem A. G., który K. Wł. Wójcicki policza do rzadkości bibliograficznych. W układzie tego wiersza miał udział i Konstanty Majeranowski. Tłumaczył *Lerneta* rozprawę o morze, którą pomieszczono w Rocznikach Towarzystwa przyjaciół nauk. Wydał broszurę: Sposób robienia wody żywicznéj, Kraków 1824 r., w 8ce, str. 16. Nadto pamflety: Upominek zawiadującemu kliniką (Brodowiczowi Józefowi) dany, Kraków 1834 r., str. 18; Uniwersytet Jagielloński zreorganizowany, Solura (Kraków) 1831 r., w 8ce, str. 31. Na tém kończy się literacka jego działalność. W dziele *Gąsiorowskiego*: Zbiór wiadomości do historyi sztuki lekarskiéj w Polsce, spisał kilkadziesiąt tytułów swoich rękopisów z różnych gałęzi umiejętności. Pozostały po nim rzeczywiście liczne rękopisma z materyi lekarskiéj, jakoteż Leksykon sztuk pięknych, ale te nie mają wartości literackiéj. Leksykon, obejmujący przeszło tysiąc arkuszy folio, jest chaotyczną zbieraniną wiadomości nieprawdzonych i wymysłów mijających się z prawdą, dowolnie przez autora potworzonych. Namiętnie lubił przerabiać Francuzów, Niemców, Anglików i t. p. na Polaków, ich właściwe nazwiska przepolszczając; dlatego to ani podobna w jego pracy rozeznać prawdy od nieprawdy. Zostawił też rodzaj dzienniczka, w którym występują rodziny które zapamiętał autor. Podobno o tym dzienniku toż samo powiedzieć można, co o leksykonie, a nawet jeszcze dobitniéj, bo nie żałował dla nikogo epitetów ze słownika wyrazów nieharmonijnych, ani fikcyi najnieprawdziwszéj.

Ale dość o nieboszczykach, mówmy o żyjących. Zapewne chcesz wiedzieć co wyszło nowego na polu literackiém. Najlepiéj o tém poinformuje cię wydawany w 350 egzemp. *Ruch literatury polskiéj*, nakładem Wywiałkowskiego w Krakowie, którego zeszyt drugi (str. 47—102) opuścił prassę d. 30 kwietnia. Znajdziesz tam treść 20 czasopism, a 80 dzieł i ich dokładne ocenienie przez Wilhelma Gąsiorowskiego,

Er. Mułkowskiego i innych. Niepotrzebnie wdają się w cytaty urywkowe wiérszy i wywody obszerniejsze; ale są to małe usterki, nie odejmujące ogromnéj wartości dziełu, które piérwszy raz podaje nam dokładny obraz bibliograficzny tego wszystkiego, co wychodzi u nas drukiem w kraju i zagranicą. Bez czasopisma *Ruch literatury* nie powinna obejść się żadna księgarnia, żaden literat; jest to podręcznik pożyteczny pod wszelkim względem. Przykro jednak wyznać, iż pismo to, acz w szczupłéj liczbie egzemplarzy odbijane, nie ma należytego rozgłosu i pokupu. W zeszycie drugim należałoby na stronie 60 zamiast *Julia*, poprawić *Juliusz* Starkel; na stronie zaś 67 wymienić że L. M. znaczy Lucyna Mieroszewska, a na str. 91 Felicyan, znaczy Faleński.

Drukarnia Wywiałkowskiego, otworzona 30 stycznia 1860 r. w Krakowie, należy do najczynniejszych w Galicyi. Przez lat dwa wyszło w niéj do 80 dzieł i broszur. Dawniéj nie produkowały tyle wszystkie drukarnie Galicyi i Krakowa razem wzięte. Zdaje się że podnosi się życie książkowe, bo powstają coraz nowe drukarnie. Kraków ich posiada siedem, jakoto: drukarnia Czasu, uniwersytecka, Wywiałkowskiego, Czecha, Budweisera, a tego roku przybyły J. Bensdorfa introligatora i Fran. Ksaw. Pobudkiewicza, który się przesiedlił z Sambora. Pobudkiewicz jeszcze w Samborze wydrukował dziesięć książek wartości podrzędnéj, treści religijnéj, w Krakowie zaś wydał trzy, między niemi: Tessarczyka: *Żywot papieża Piusa IX* (w 1000 egzemp.), z którego nakładu autor wziął podobno 300 egzemplarzy od drukarza, i te rozesławszy, toż samo dzieło wydrukował powtórnie w uniwersyteckiéj drukarni, mimo iż 700 egzemplarzy poprzedniéj edycyi zalega półki drukarni Pobudkiewicza.

J. Bensdorf lepiéj obmyślił wydawnictwo, pomyślniéj téż mu idzie. Wydrukował abecadlnik historyczny kolorowany, do którego tekst dorobił Lucyan S. Abecadlnik ten ma takie powodzenie, jakiego mało która książka doczekać u nas zdoła. Wydany w 2000 egzemplarzy, ukaże się niedługo w drugiéj edycyi dwa razy większéj. Wydał téż ubiory polskie włościan; do rycin kolorowanych dopisuje tekst L. S. W ogólności założył sobie wydawca drukować książeczki kolorowane dla dzieci i młodzieży. Wartość ich opiera się głównie na rycinach, do których tekst zazwyczaj tłumaczony bywa z niemieckiego. Tak wydał z rycinami: *Robinsona Kruzoe dla dzieci*; *Odkrycie Ameryki*; *Podróże Guliwera*; *Przygody wiewiórki*, w nakładzie po 500 egzemplarzy. Nadto odtłoczył po 1000 egzemplarzy kilku dzieł treści religijnéj.

Wszystko to są nakłady świéże, w ciągu tego półrocza wyszłe.

Na polu naukowém pojawiły się: *J. Zientarskiego* książka o posiadaniu i zasiedleniu, według prawa rzymskiego, o któréj już wspominałem dawniéj. *Zoll Fryderyk* wydał rozprawę: O skardze przeczącéj w prawie rzymskiém, Kraków 1862 r. w 8ce, str. 70, napisaną gruntownie i prostującą mylne wnioski pracowników na tém polu. Zoll jest nauczycielem przy uniwersytecie Jagiellońskim. *Heyzmann* professor uniwersytetu jagiellońskiego wydał: Najnowsze prawa kościoła katolickiego w państwie austryackiém, Kraków 1861 r. w 8ce, str. 303. *Krzeczunowicz Kornel*: O podatku gruntowym i domowym w Galicyi (oddruk z Czasu) 1862 r. in folio, 1 karta.

*Sartyni M.* redaktor Gaz. lwow., wydał: Pomiar ciała ludzkiego z zasad morfologii, a metodą Karola Gustawa Carusa, Lwów 1862 w 8ce, str. 64, oraz: Gradobicia w obwodzie samborskim (rezultat zestawień gradobić z 40 lat). Jestto dziełko czwarte téj treści; trzy piérwsze obejmowały inne obwody Galicyi. W ten sposób nikt dotąd nie zbadał i nie opracował fenomenów gradobicia. Sartyni podciągnął je pod pewien system określający stałe prądy téj klęski i wyjaśniający jéj powody. Cztéry te dzieła godne są uwagi ludzi fachowych; polecam je tymże, skoro się ukażą w handlu księgarskim u Celsa Lewickiego.

*Radwański Jan*, członek redakcyi Czasu, wydał w Krakowie dzieło: Nieco o mitologii polskiéj i słowiańskiéj w ogóle, Kraków 1862 r., w 8ce, str. 62. W pracy téj autor rozwinął całkiem nowe pojęcia o mitologii słowiańskiéj, obalając niejedno twierdzenie Hanusza, uchodzącego dotąd za wyrocznię. Zwrócił on uwagę na to, iż mitologią słowiańską tłumaczyć i rozjaśnić można zbadaniem znaczenia pierwiastków składających nazwy bóstw, anatomizowaniem znaczenia składowych części każdego wyrazu. O czémś podobném marzył już *Kollar*. Byleby nie dopuścić gry wyrazów i naciągań w przerzucaniu głosek, możnaby wiele zbadać tą drogą. Metodę swoję rozwija Radwański jasno i dokładnie; jest ona nowa i oryginalna. Badacze pierwiastków przeszłości naszéj powinniby zastanowić się uważnie nad tą rozprawą i naukowym sporem wywołać dalsze spostrzeżenia pracowitego erudyta.

*Starkel Juliusz*, redaktor Dzwonka, wydał trzy arkuszowe broszury p. t. Ziemia polska (str. 48 w 8ce, druk Winiarza), opisujące kraj pod względem dziejowym i geograficznym, językiem najprzystępniejszym dla włościan. Dodawane były r. 1861 do Dzwonka.

Z działu literatury nadobnéj niewiele zebrać się dało. *Wielogłowskiego*: Komornica, czyli tajemnice życia wiejskiego, i tegoż: Podróż do Rzymu i Paryża, odbyta w roku 1861 przez Feliksa Borunia (str. 79), wydana dwukrotnie, są najważniejszém zjawiskiem literackiém. Ksiądz *Feliks Gondek* zrobił drugie wydanie: Wspomnień z pielgrzymki do ziemi świętéj.

*Stanisław Krzyżanowski* wydał: Dwa szkice, Kraków 1861 w 16ce str. 32 (odbito 200 egzempl.); *Dzierzkowski Józef*: Szkoła świata, szkic (oddruk z Dziennika literackiego), Lwów 1862 w 8ce str. 224; *Konopkówna* z Modlnicy: Pieśń do św. Wojciecha, Kraków 1862 w 8ce u Wywiałkowskiego k. 1; *Ładnowski Aleks*: Teatra, Bochnia 1862, t. V zeszyt 3, Sukcessya krotochwila; *Jakubowski Franc.*: Samuel Zborowski, tragedya w 5 aktach, Kraków 1862 w 8ce, druk Czecha, str. 87. *Cieszewski Karol*: Zerwany most komedya, Lwów 1862 w 8ce, druk Pillera. Na zakończenie spisuję kilka tytułów z literatury jarmarcznéj, z któremi zapewne w życiu swém się nie spotkasz. Nagana pijaństwa a pochwała wstrzemięźliwości, Lwów 1861 w 8ce str. 24, druk Poremby; Polonezy z opery Stary konkurent, Lwów 1861 w 12ce str. 12, druk Poremby; Spiewy pijackie i myśliwskie, Lwów 1861 w 12ce, str. 33, druk Poremby. Takich druków dostarcza drukarnia Paremby corocznie bardzo wiele; rozchodzą się one tylko między kramarzami odpustowemi.

Na tém poprzestając, donoszę ci iż na dniu 1 maja r. b. odbyło się posiedzenie Towarzystwa naukowego krakowskiego, oddziału nauk moralnych, na którém obradowano względem wydawania czasopisma dla sztuk i archeologii. Narady zostały bez ostatecznego rozstrzygnięcia, odłożono je więc do późniejszego posiedzenia. Następnie jeden z członków(*) przedłożył Towarzystwu naukowemu wypracowaną przez siebie *Bibliografią polską od r. 1800*, obejmującą katalog alfabetyczny druków polskich i o Polsce w liczbie około 35,000. Zarazem odczytał rozprawę o bibliografii polskiéj w tém stuleciu i o katalogach książek, tudzież wyłożył system jakiego trzymał się w układzie przedłożonego katalogu księgarskiego i bibliograficznego. Dla świata naukowego nieobojętną także będzie wiadomość, iż prezes Towarzystwa naukowego *J. Majer* zebrał bogatą bibliografią fizyografii w Polsce, obejmującą kilka tysięcy źródeł, głównie z pism czasowych i zbiorowych zaczerpniętych.

---

Z Wrocławia, w maju 1862 r.

Wiosna w tym roku wcześniéj jak zwykle do nas zawitała. Przyroda rozbudza się do nowego życia; tylko człowiek, pan świata, jak w dumie swéj siebie nazywa, zawsze jednaki, zawsze namiętność w nim góruje. Za dowód tego służyć mogą ostatnie wybory na deputowanych do izby niższéj, w których stronnictwa walczyły z sobą jakby o życie. Wiadomo jaki z tego był skutek; ale co daléj będzie? Któż to odgadnie?

Dziś rozstrojone niedawno umysły znowu nieco uspokoiły się; ludzie wrócili do zwykłych zatrudnień; lecz mimo to każdy śledzi z natężeniem co się gotuje po świecie. Dzienniki stanowią główny pokarm literacki ogółu; nic dziwnego więc że w obecnym czasie mało stosunkowo zjawia się dzieł nowych treści niepolitycznéj,

W czasie ogólnéj posuchy umysłowéj, znakiem niezwykłéj odwagi nazwać wypada, jeżeli wydawca jaki rzuca się na przedsięwzięcia wątpliwe tylko korzyści obiecujące. Do rzędu takich zaliczyć trzeba wydawanie w Niemczech książek polskich, a jednak zdarza się gdzieniegdzie śmiałek wstępujący na ślizką tę drogę. Tak od niejakiego już czasu księgarz J. A. Brockhaus w Lipsku wydaje *Bibliotekę pisarzy polskich*, któréj 7 już wyszło tomów, zawierających poezye Garczyńskiego, pisma Słowackiego i t. d. Znalazł on niedawno naśladowcę i współzawodnika w księgarzu Gerstmanie w Brukselli, który również wziął się do wydawania zbioru najlepszych utworów piśmiennictwa polskiego (mianowicie: Niemcewicza, Potockiego, Kraszewskiego, Tańskiéj i t. p.) składać się mającego z 45 do 50 tomów, po cenie dwóch franków, a imię *Biblioteki domowéj* noszącego. W ogłoszeniu rozesłaném mówi, że celem tego wydawnictwa jest upowszechnienie dzieł zaszczytnie w literaturze polskiéj znanych, przez znaczne zniżenie cen. Jeżeli osoba należycie obeznana z wymaganiami kraju zajmie się wyborem, spodziewać się można że dobre znajdzie przyjęcie.

Wychodzi również u Brockhausa, drugi już rok, *Bibliografia polska*, wykaz miesięczny wszelkich nowości literatury i sztuki polskiéj, oraz obcych z nią związek mających, pojawiających się tak w kraju, jak i zagranicą. Jest to pożądane pisemko, zwłaszcza dla nas za granicą mieszkających, co tak mało niekiedy wiemy o publikacyach prassy polskiéj.

Wspomniony dopiéro nakładca, który w przedsiębiorstwach swoich więcéj od innych kolegów zwraca uwagi na literaturę polską i jéj pracowników, wydaje w niemieckim języku czasopismo: *Unsre Zeit* (Czasy nasze), w którém umieszcza niekiedy i życiorysy znakomitych mężów polskich. Wydrukował już żywoty hr. Działyńskiego Tytusa i Lelewela, a mając obfity co do treści i ciekawy materyał do wyboru, zapewne nie przestanie na téj próbie, w kraju i za granicą równie dobrze przyjętéj. Żałować tylko trzeba, że tak rzadko stosunkowo spotykamy się w tém czasopiśmie z rzeczami dotyczącemi Polski. W ogólności Niemcy, lubo z krajem polskim sąsiadują, mało jednak wiedzą o nim i o jego mieszkańcach; pismo przeto, któreby przyjęło na siebie obowiązek wypełnienia téj próżni i sprostowania mylnych często o nas wyobrażeń i przesądów, z któremi na każdym kroku spotykamy się u Niemców, rzeczywiście zasługiwałoby na wdzięczność obu narodów.

Tu w Wrocławiu księgarnia Szletterowska, właścicielem któréj jest obecnie niejaki p. Skutsch, najwięcéj zajmuje się płodami literatury polskiéj. Wydała niedawno komplet *Dziadów* Mickiewicza, a w téj chwili gotuje: *Zbiór pieśni gminnych ludu górno-szląskiego, plemienia polskiego*. Zważając na to, że wiadomości tyczące się téj odrośli pnia narodowego bardzo są szczupłe i niedokładne, przyklasnąć trzeba każdemu objawowi w tym kierunku i całemi siłami go popierać.

Ważném dla numizmatyków dziełem, także przez Szlettera wydaném, jest: *Historya monet żydowskich* Dra Lewy, popularnie napisana i ozdobiona wieloma drzeworytami, oraz porównawczą tablicą znaków piśmiennych. Wypracował ją autor na żądanie Instytutu dla podźwignienia literatury żydowskiéj. Dzieło to, na podstawie wypadków historycznych, zapoznaje czytelnika z ciekawemi nieraz zabytkami dalekiéj przeszłości.

(*) Karol Estrejcher. (Przyp. redak.)

---

## KILKA PIOSNEK JANA CZECZOTA.(*)

### I.

### Marzenie nad brzegiem Białéj,

16 *kwietnia* 1828 *r.*

Tęsknią już ptaszki z poczętą wiosną,
Miło im, rzewnie i tkliwie;
Serca ich drobne miłością rosną,
Zbiegą się z sobą szczęśliwie.

Każdy swéj szuka pary na ziemi,
Bo każdy tylko połową.
Tęsknijcie ptaszki za samki swemi,
I piosnkę nućcie im nową.

Jeden ja, jeden! jak wyrzucony
Rozbit na skały bez ludzi;
Ni on podobnych głosem wzruszony,
Ni sam w kim czucie obudzi.

Tak biédny ptaszku, tak w pośród boru,
Gdzie wilki wyją i sowy,
Próżnobyś zwabiał melodyą chóru
Serce swéj lubéj połowy.

### II.

### Ogrodnik.

Weźcie mnie za ogrodnika
W jéj najmilszy sad,
Ja z ochotą dla ogródka
Cały rzucę świat.

Dajcie prostą mnie sukmanę,

(*) Jeszcze w Nrze 23 daliśmy wizerunek i życiorys Czeczota. Obecnie otrzymujemy od jednego z najbliższych przyjaciół zmarłego poety zbiorek jego pieśni, po większéj części niewydanych, którym pośpieszamy podzielić się z czytelnikami, jako z szacowną pamiątką po nieodżałowanym naszym śpiewaku ludowym. (Przyp. redak.)

Nie chcę waszych szat;
Ja z ochotą dla ogródka
Cały rzucę świat.

Będę skory i posłuszny,
Wstanę zaczém brzask;
Znajdzie czyste już ulice
Słońca ranny brzask.

I kwiateczki jéj poleję,
By nie pomdlił skwar,
I w altance koszyk malin
Złożę jéj na dar.

Wszystkie zwabię ptaszki z gaju
W tych cienistość drzew
Niech szczebiocą, niech ją bawią,
Przez łagodny śpiew.

A gdy przyjdzie moja pani
W téj topoli cień,
Nie zazdrośćcie że ożyję
Jéj wonnością tchnień.

Nie zazdrośćcie gdy jéj nóżek
Ucałuję ślad,
Bom z ochotą dla ogródka
Wam ustąpił świat.

I do serca gdy przycisnę
Ten co rzuci kwiat,
Nie zazdrośćcie, bom ustąpił
Cały dla was świat.

III.

## Mléczarka.

Mléczko niosę do miasteczka
I na rynek wchodzę:
Kupcie mléczka, kupcie mléczka!
Przedam je nie drodze.

Czyste, świéże, słodkie, białe,
Dziś dojone rankiem;
Krówkę moję sama pasę
Z miłym dla mnie Jankiem.

Kwiatki wonne tam na łące,
Gdzie my ją pędzimy,
Zdrój najczystszy w cieniu brzozy,
Gdzie my ją poimy.

Kupcie mléczko! gdym wołała,
Wyszedł panicz hoży:
Ach dzieweczka, ach dzieweczka!
Jako dzionek boży!

Piękna moja! przedaj mléczko,
Dam ci cały złoty;
Daj całusek, dam dukata
Za twych ust pieszczoty.

Ach mój panie, nie dla ciebie
Moich ust pieszczoty,
Weźmij mléczko, gdy ci trzeba,
Oddam je za złoty.

Daje złoty, bierze mléczko,
W garnek pocałował,
Jam się na to uśmiéchnęła,
On dukata schował.

Chowaj sobie, mości panie,
Swe kosztowne złoto!
Pójdę pasać moję krówkę
Z Jankiem i ze cnotą.

IV.

## Woły.

Wołki moje, wołki miłe,
Pracujmy ochotnie,
Pan Bóg trudy i starania
Nagrodzi stokrotnie.

Dostaniecie chleba z roli
Mym dziatkom i żonce,
Ja wam siana z żoną, z dziećmi
Nakoszę na łące.

Przepędzimy lato w trudzie,
A zimę w pokoju,
Póki wiosna nie odkryje
Pastwiska i zdroju.

Znowu pójdziem z ranną zorzą
Przewracać te pola,
Szukać skarbów co ukrywa
I praca i rola.

Wołki moje, wołki miłe!
Pracujmy ochotnie;
Pan Bóg trudy i starania
Nagrodzi stokrotnie.

V.

## Młócarze.

Nuże chłopcy, nuż dziewczęta!
Stojąc w piękne koło,
Przyśpiéwujcie jak ptaszęta,
Uderzmy wesoło!
Taf, taf, taf—taf, taf, taf!
Pomagaj nam Boże!
Taf, taf, taf—taf, taf, taf!
Wymłócić to zboże!

Zmłócim żyto i pszenicę,
Jęczmień wyda słody;
Przyjdą swaty po dziewice,
Uderzmy na gody!
Taf, taf, taf, i t. d.

Wianek skronie twoje Basiu
Z róż i rut ukrasi,
Wiemy że się kochasz w Stasiu,
Uderzmy dla Basi!
Taf, taf, taf, i t. d.

Dość dziewczęta Stachu zwodzić
I udawać gacha;
Piękniéj z żoną w parze chodzić,
Uderzmy dla Stacha!
Taf, taf, taf, i t. d.

Patrz jak Antek oczy kosi,
Chociaż nic nie powié,
Dawno mu się pragnie Zosi,
Uderzmy Antkowi!
Taf, taf, taf, i t. d.

Nie wierzymy téż dziewicy,
Choć się dąsa cosi,
Gniéw to tylko gołębicy,
Uderzmy dla Zosi!
Taf, taf, taf, i t. d.

Z wiosny u nas Kuba wzdycha,
Ktoś tu jemu luby;
Myje brzegi woda cicha,
Uderzmy dla Kuby!
Taf, taf, taf, i t. d.

Ktoś tu czuléj piosnki nucił,
Goniąc swe baranki,
Ktoś mu serca pokój skłócił,
Uderzmy dla Hanki!
Taf, taf, taf, i t. d.

Mało w domu miéć dostatek,
Trzeba gospodyni;
Rządne córki dobrych matek,
Uderzmy Maryni!
Taf, taf, taf, i t. d.

Bartka domek miodem płynie,
Winien to trudowi;
Pójdziem prosić o Marynię,
Uderzmy Bartkowi!
Taf, taf, taf, i t. d.

Zdrowie nowych gospodarzy!
I gospodyń zdrowie!
Niech Bóg szczęście wszystkim zdarzy
I zacni panowie!
Taf, taf, taf,—taf, taf, taf!
Pomagaj nam Boże!
Taf, taf, taf,—taf, taf, taf!
Wymłócić to zboże!

VI.

## Gołąbek.

Gdybym miał gołąbka,
Słałbym w luby kraj,
Kędy moja luba,
Gdzie mój kwitnie maj.

Słałbym do niéj listek,
Parę jakich słów;
Lejli, kocham ciebie!
Jestem żyw i zdrów.

Rzekłbym gołąbkowi:
Leć'że w dobry czas,
A jak tam przylecisz,
Poznasz miłą wraz.

Smutne będzie lice,
Choć na ustach śmiech,
Przytępione oczy,
Wstrzymywany dech.

Poznasz Lejli zaraz
I śród dziewic sta,
Co najmilsza będzie,
Ta jest Lejli, ta!

Ach że taka miła!
Ja ci słowo dam;
Ale czy tak smutna,
Ujrzysz chyba sam.

VII.

## Wędrowna ptaszyna.

Ptaszku! ptaszku! zkąd przylatasz?
Czy nie z polskich ziem?
Niech od ciebie o najmilszéj,
Choćiaż słówko wiem.

Czyś nie bywał w jéj ogródku,
Czyś nie widział tam
Która gasi swym powabem
Róży kwiatek sam?

Czyś nie przerwał dumań drogich
Przez niebaczny śpiew?
Lub zabawił przelatując
Po gałązkach drzew?

Czyś nie słyszał uronionych
W zamyśleniu słów?
Czy nie umiész naśladować
Jéj najsłodszych mów?

Powiédz, powiédz, daj pociechę,
Uśmierz troskę mą;
Powiédz, powiédz o najmilszéj,
Co się dzieje z nią?

Ach ulatasz, ach nie mówisz,
Któż mi wiedzieć da?...
I ptaszynę odegnała
Dola moja zła!

VIII.

## Co to starzy za waryaci.

Co to starzy za waryaci,
Mówią bez przyczyny:
Że wiek młody źle się traci,
Siedząc u dziewczyny.

I pędzą mnie do roboty,
A nie wiedzą tego,
Że bez dziewcząt ja ochoty
Nie mam do niczego.

Gdy się chwilkę z nią pogrucha,
Chwilkę się pośmieje,
Serce nowym ogniem bucha,
W głowie rozednieje.

I świat smutną postać zrzuci,
Pracuję wesoły,
I piosnka się wdzięczniéj nuci
Między przyjacioły.

Mówcież sobie, siwe dziady,
Co się wam zamarzy;
Posłuchamy waszéj rady
Jak będziemy starzy.

W drukarni J. Ungra.—Za pozwoleniem Cenzury

Redakcya przy ulicy Krakowskie-Przedmieście, w domu PP. Wizytek Nr. 391.